Nr. 2. Warszawa, dnia 27 Grudnia 1897 r. (8 Stycznia 1898 r.) Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz [illegible] i [illegible] pism [illegible].
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Rok 1897.

II.

Międzynarodowa sprawa europejska na dalekim Wschodzie, w Chinach, wystąpiła w grudniu. Cesarz Wilhelm zajął zatokę Kian(o)-czau, w prowincyi Szan-tung, jawnie dochodząc sprawiedliwości i wynagrodzenia za rabunki i morderstwa chińskie, tajemnie pragnąc swą wielkość i na wody i na lądy azyatyckie rozpostrzeć. Jednocześnie w d. 16—18 t. m. eskadra rosyjska zawinęła dla przezimowania do Portu Arthura (Luszun-ko), prawie na wprost Wei-hai-Wei, które trzymają Japończycy z mocy traktatu w Szymonoseki (1895).

Rola Anglii była przez tydzień cały zagadkową; dopiero na samo zakończenie roku odważono się w Londynie i dla siebie także coś zająć, gdy zajmowali inni. Zatarg z Koreą dał sposobność do zjawienia się z większą eskadrą w porcie Czemulpo nad wodami, oblewającemi zachodnie brzegi Korei. Na początku roku 1898 telegraf doniósł o zawinięciu dwóch okrętów angielskich do obszernej zatoki chińskiego Tulonu, z której gościnności przedtem już skorzystała była flota rosyjska. Na stanowisku zjawiła się i Francya: zajęła wyspę Hainan, leżącą w wielkiej zatoce Tonkinu. Rok ubiegły zatem pozostawił swemu następcy formalną kwestyę chińską, wobec której pretensye cesarza Wilhelma są kwileniem niemowlątka, a wydzierżawienie mu przez Chiny zatoki Kiau-czau na lat 99 — termin z prawa prywatnego angielskiego — plasterkiem na wrzód, wołający o nóż, o litościwe zawsze ręce europejskie, ukrócające cierpień. Trudność porozumienia się, prawie bezwzględna niemożność odegrania „koncertu,“ tj. wzajemnego, a doskonałego zobojętnienia swych żądz i swych sił, wzmaga jeszcze powagę położenia. Układ potęg będzie taki, jak pod koniec wojny japońsko-chińskiej: Rosya, Francya i Niemcy po jednej stronie, Anglia po drugiej. Jej współdziałanie z Japonią szczerszem się chyba teraz okaże, choćby tylko z egoistycznych pobudek, niż w zimie r. 1894—5. Zatarg Anglii z Koreą o dyrektora ceł, Browna, i uległość Chin dla Rosyi wskazują, że mocarstwo to trzyma obecnie na dalekim Wschodzie pierwsze skrzypce.

W Anglii nie wydarzyło się nic ważniejszego, prócz w ostatnim już kwartale wybuchłej wojny z Afgańczykami dawniej już przesiedlonymi nad Indus: Orokzajami, Afrydami i Mohmandami. Jest ona bardzo zaciętą, dowodzi wielkiego męztwa obu stron, doskonałej obsługi i wytrwałości Anglików, pochłonęła już wiele ofiar i pochłonie ich więcej, niż wart jest cel pokonania opornych orężem, a nie ustępstwami. Miesiąc grudzień przyniósł Albionowi duże klęski, które mogą zmusić go do wstrzymania kampanii. Królowa d. 20 czerwca obchodziła 60-letni jubileusz swych rządów. Irlandya otrzymała zapowiedź reform.

We Francyi rzeczpospolita melinowska dalej byt swój wlokła. W lecie nowe pędy puszczać zaczęła przyschła już latorośl sprawy panamskiej. Arton powiedział nareszcie, co się mieściło w owym słynnym kajeciku ze 102, czy 104 nazwiskami. Izba deputowanych wyznaczała komisyę; ta zakwalifikowała kilku swoich, senat swego Naqueta, dawno już zbiegłego, i d. 18 grudnia rozpoczął się sąd, z pod którego przed końcem roku uwolniono już ośmiorech; dwaj jeszcze czekali na wyniki sprawiedliwości: nie będzie ona dla nich srogą. Tylko sądom parów swoich poseł lub senator skutecznie sądzonym być może. Na Madagaskarze po pomyślnej wyprawie w lecie r. 1896 przez cały rok generał Galliani uśmierzał ludność opierającą się najazdowi. Królowę wywiózł na Réunion. Howajc poszli pod jarzmo.

W Niemczech rząd pruski nie zdołał przeprowadzić wstecznieczego prawa o stowarzyszeniach przez Izby: niższa je odrzuciła (24 lipca). Rada związkowa w listopadzie wniosła nareszcie projekt przetworzenia procedury wojskowej. Cesarz Wilhelm zażądał nadzwyczajnych (przeszło 400 mil. m.) nakładów na flotę i wraz ze zwyczajnemi chce je mieć zapewnione na całe siedmiolecie. Obie sprawy nie były jeszcze w roku ubiegłym rozwiązane. Miejsce Marschalla zajął jako sekretarz stanu przy kanclerzu, Bülow. W Prusiech szerzył się wciąż hakatyzm w urzędach i w umyślnie założonem towarzystwie nienawiści, dążącej do zagłady. Najwyższy trybunał administracyjny orzekł bezprawność rozwiązywania zgromadzeń z powodu nierozumienia języka przez policyantów, t. zw. komisarzy.

W Hiszpanii w końcu sierpnia zamordowano prezesa ministrów, Canovasa. Po krótkich rządach Azcarragi w początku października ster rządu ujął ponownie Sagasta. W liberalizmie swoim już przepołowiony minister odwołał zaraz z Kuby Weylera, a wysłał generała Blanco

z samorządem, który już wchodzi w wykonanie. Powstanie dalej trwa. Stany Zjednoczone we wrześniu bardzo się srożyły; w grudniu, w mowie prezydenta M-c Kinleya, złagodniały: nie wystąpią zbrojnie.

We Włoszech trzymał się przez cały rok Rudini, umiarkowanie liberalny i umiarkowanie zachowawczy; w grudniu już gabinet się przetworzył, przyjmując w siebie Zanardellego, który go przesunie ku lewicy. Z Abisynią nowych zatargów nie było. Traktat Nerazziniego wykonany, ale rozgraniczenie nie przeprowadzone jeszcze na gruncie. W grudniu zdali Włosi Anglikom Kassalę.

W Norwegii stronnictwo radykalne, dążące do zerwania unii rzeczowej, na wyborach jesiennych odniosło ogromną przewagę: ono dziś panuje; rok 1898 pełen będzie niepokojów i zamętu.

Inne państwa były tak szczęśliwe lub tak małe, że niema co o nich mówić.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej objął d. 4 marca władzę prezydent prohibicyjny, wysoko-taryfowy, M-c Kinley. Dotychczas widać dążność raczej do zniżenia ceł, niż do większego jeszcze podbicia ich w górę. Unia zaczyna myśleć o flocie wojennej, której niema dość licznej i tęgiej na to, aby być istotnie wielkiem mocarstwem nietylko w Ameryce, ale i w świecie. O roli jej w sprawie Kuby mówiono pod Hiszpanią. W innych rzeczachpospolitych amerykańskich panowały ciągle niepokoje wskutek współzawodnictwa o władzę: gospodarzyły też sztylet i bomba. Rzeczpospolita Haiti na jesieni miała zatarg z awanturnikiem niemieckim Lüdersem i z samym cesarzem Wilhelmem, który, doznawszy pośrednio od prezydenta zniewagi, z początku chciał bombardować Port-au-Prince, wkrótce jednak kwestya chińska pochłonęła całą jego energię, i odwet się odwlókł.

Spory dział wypadków zajęły dla siebie zjazdy władzców wielkomocarstwowych. W kwietniu przyjechał do Petersburga cesarz Franciszek, w sierpniu cesarz niemiecki, a po nim prezydent Faure. Na jesieni cesarz Wilhelm odwiedził swego sprzymierzeńca austryackiego i zawitał do Pesztu, po odwiedzinach sprzymierzeńca włoskiego w Homburgu. W lecie król rumuński złożył wizytę w Wiedniu. Wszystkie te akty grzeczności były zarazem czynami polityki. Pomiędzy Austryą a Rosyą nastąpiło zbliżenie się, polegające na obowiązku wzajemnej uprzejmości w robotach dyplomatycznych, zwłaszcza na Wschodzie. Bismarkowskiego układu „reasekuracyjnego“ Austrya nie zawarła; trójprzymierze stoi, ale wciąż na niepewnych nogach, jak dawniej. Rumunia poddała się wpływom Austryi. Podróż sierpniowa Faure'a obwieściła światu fakt istnienia przymierza. Nikt już teraz wątpić nie może, iż w przyszłej zwadzie międzynarodowej rzeczpospolita francuska będzie mogła oprzeć się o potężne plecy Cesarstwa Rosyjskiego.

Tydzień polityczny. Kwestyę chińską wzbogacili Anglicy w samym końcu ubiegłego roku zarzuceniem kotwicy w porcie Czemulpo i posłaniem dwóch okrętów do Port Arthur, gdzie już stała flota rosyjska. Francuzi ze swej strony zajęli wyspę Hainan, na wschód od Tonkinu. Włosi, przynajmniej politycy dziennikarscy, jeśli nie rząd, chcą także wysłać choćby dwa swoje okręty na morza wschodnio-azyatyckie. Zjawienie się Anglików w Czemulpo ma wywrzeć nacisk na rząd koreański, aby przywrócił dyrektora ceł, Browna, którego miejsce w Seulu oddano już p. Aleksiejewowi. Japonia usilnie się zbroi, zwłaszcza jej arsenały morskie pracują gorączkowo: dotychczas jednak flota jeszcze nie wypłynęła; gdy wypłynie, będzie miała gotowe stanowisko w Wei-hai-wei.

Cesarz Wilhelm przyjmował d. 3 b. m. na posłuchaniu arcybiskupa Stablewskiego, który przedtem wstąpił do kanclerza i dłuższą chwilę z nim rozmawiał. Arcybiskup przed świętami (d. 15 z. m.) wysłał od siebie ks. Henrykowi na wyjezdnem błogosławieństwo. Dzienniki niemieckie zapowiadają nam zmianę konstytucyi: ma być zakazane stowarzyszeniom radzącym publicznie używanie innego języka, prócz niemieckiego. *Nordd. Allg. Ztg.* wystąpiła z piorunującym artykułem, który pośrednio potwierdza zapowiedź nowych machin i narzędzi prawodawczych. Tylko drugie 100 mil. na kolonizacyę ma być już zgniłem jabłkiem.

W Austryi cesarz wydał d. 31 z. m. rozporządzenie kontrasygnowane przez ministrów wspólnych o kwocie, jakiej każda połowa monarchii na wydatki wspólne dostarczyć będzie musiała w r. 1898. Inne rozporządzenie, kontrasygnowane przez ministrów przedlitawskich, na mocy § 14 utrzymuje porządki handlowe, celne i bankowe także na r. 1898, o ile przed końcem tego roku nie stanie prawo odpowiednie w drodze konstytucyjnej. Na Węgrzech opozycya w d. 4 b. m. złożyła broń, otrzymawszy zapewnienie samoistności celnej i handlowej w razie niedojścia prawa w duchu konstytucyi do d. 1 maja. Prawo o tymczasowej ugodzie na rok przejdzie już teraz przez Izbę niższą.

Anglicy ponieśli drugą już w grudniu klęskę w walce z Afganami nadindusowymi. Zaniechać mają całkiem kampanii.

Jeżeli telegraf nie kłamie, to nad Nilem górnym grozi starcie anglo-francuskie: Francuzi od Llobatu idą ku północy, dostali się tam przez Kongo.

Generał Weyler we spółce z Romero Robledem przygotowuje *pronuciamento*. Ogłosił już przeciwko Stanom Zjednoczonym memoryał, popularny w wojsku, i robi sobie stronnictwo karabina i armaty.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KARY PIENIĘŻNE.

Na rozległej i różnorodnej dziedzinie pracy są nienormalności, zboczenia, stosunki i systemy, które odbiegają od potrzeb rzeczywistych, a niejednokrotnie utrudniają możność istnienia. Takie zjawiska chorobliwe w warunkach bytu bywają łagodzone bądź naciskiem opinii publicznej, bądź środkami prawodawczymi. Dotąd jednak zarówno owa opinia, jak i prawodawstwo, nie zwróciło dostatecznej uwagi na jeden system bardzo dotkliwy dla rzesz pracujących i ich rodzin: kary pieniężne za wszelkiego rodzaju przewinienia. Tylko prawo fabryczne uwzględniło jedną grupę: robotników, i ujęło

---

34)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

„Sąd postanowił skazać na ciężkie roboty.“

Mówiąc po sachalińsku, w „piątym“ (1895) r. było zesłanych na Sachalin 2,212, w „szóstym“ 2,725.

Rzecz szczególna! Co rok sądy skazują na ciężkie roboty dwa do trzech tysięcy ludzi, a ogół wcale nie wie, co to jest owa katorga.

Co znaczą te wyroki: „bez terminu,“ na 20, 15, 10, na cztery, dwa lata.

Zanim tedy wprowadzę czytelników do wewnętrznego życia katorgi, zanim scharakteryzuję jej oryginalny podział na kasty, obyczaje, zwyczaje, poglądy na religię, prawo, zbrodnię i karę — muszę powiedzieć, co to jest sama „katorga,“ jakiej karze podlegają ludzie, zsyłani na Sachalin.

Wszyscy katorżnicy dzielą się na dwie katagorye: „doświadczanych“ i „poprawianych.“

Do pierwszej dostają się ludzie, skazani nie mniej, niż na lat piętnaście.

Katorżnicy bezterminowi powinni przebyć w szeregach „doświadczanych“ 8 lat, skazani nie więcej niż na 20 lat — 5, wreszcie skazani na 15—20 — cztery lata.

Wszyscy inni natychmiast są zaliczani do szeregów „poprawczych.“

Tylko więzienie dla doświadczanych jest „turmą“ w całem znaczeniu. „Doświadczalna,“ czyli, jak ją pospolicie nazywają, „kajdanowa,“ stoi zwykle zupełnie odosobniona, otoczona wysokim częstokołem. Przy ścianach chodzi straż, co jednak nie przeszkadza więźniom uciekać w jej obecności. Jakaż bowiem ściana zatrzyma, jaki szyldwach zdoła przestraszyć człowieka, dla którego śmierć jest „słodyczą“ w porównaniu z tem strasznem życiem kajdanowem!

Wstęp ludziom postronnym do tego rodzaju więzienia jest wzbroniony. Skazańców trzymają tam jak zadżumionych, w zupełnem odosobnieniu. Nawet szpitale dla nich są oddzielne. Ale to wcale nie przeszkadza więźniom z oddziałów poprawczych dostawać się do „kajdanowego,“ przemycać tam wódkę, grać w karty. Wynalezczość i pomysłowość katorgi nie ma granic.

Przytem na Sachalinie wszystko się kupuje i to bardzo tanio.

Od wiosny do jesieni, od początku do końca „sezonu ucieczek“ aresztantom „doświadczonym“ golą połowę głowy i okuwają ich w kajdany nożne. A wtedy powietrze sachalińskie, samo przez się nieznośne, napełnia się brzękiem kajdan. Jeszcze z daleka zbliżając się do więzienia, słyszymy, jak grzmi łańcuchami „kajdanowa.“ Od wiosny do jesieni więźniowie z głowami ogolonemi do połowy zatracają postać ludzką, a przybierają zwierzęcą, obrzydliwą, wstrętną. To oczywiście męczy okropnie tych „doświadczanych,“ którzy o żadnych ucieczkach nie myślą i postanowili cierpliwie dźwigać swoją dolę. To ich zmusza do takich kroków, jakie przy innych warunkach może nie przyszłyby do głowy.

Czas robót zarówno „doświadczanych,“ jak i „poprawianych“ wedle rozkładu trwa stosownie do pór roku: od siedmiu do jedenastu godzin na dobę. Ale ten rozkład nigdy nie jest wypełniany. Jeżeli są parowce, szczególnie Floty ochotniczej, które nie mogą być narażone na żadne zwłoki, katorżnicy pracują, ile sił starczy, a nawet nad siły. Wówczas zamieniają się zupełnie na pańszczyźnianych. Sam byłem świadkiem, jak roboty, zaczęte o godz. 5-ej rano, kończono o 11 wieczorem. Wyładowywano parowiec Floty ochotniczej.

Oprócz trzech dni postu i przygotowywania się do komunii oraz niedziel, katorżnicy „doświadczani“ mają 14 dni świątecznych do roku.

Ale i te wymagania prawa nie zawsze bywają zachowywane. Z tych dni czter-

kary tej kategoryi w przepis następujący: Grzywny mogą być ściągane przez zarządy fabryczne tylko w trzech wypadkach: za robotę wadliwą, za niestawienie się do pracy i za naruszenie porządku przepisanego. Wszystkie kary razem wzięte nie powinny przewyższać trzeciej części zarobku, przypadającego do wypłaty w umówionym terminie. O ile suma kar przewyższy tę normę, fabrykant ma prawo wydalić robotnika." Zarządzający fabryką wymierza kary pieniężne *bezapelacyjnie* i zapisuje do książeczki zarobkowej (z wymienieniem przyczyny) tudzież do osobnej. Robotnik, wydalony z powodu przekroczenia normy kar, może skarżyć do sądu i — *o ile* skarga będzie uznana za słuszną — otrzyma zwrot poniesionej straty.

Widzimy tutaj pewne zastrzeżenie, jakkolwiek rozciągliwe, mające jednak na względzie ochronę robotnika przed nadużyciem w wymierzaniu kar. Wskazany jest również cel sum, pochodzących z tego źródła: Kary pieniężne, ściągane z robotników, przeznaczone są na utworzenie osobnego przy każdej fabryce kapitału pod opieką administracyi miejscowej, wyłącznie na potrzeby robotników. Wypłaty z rzeczonego funduszu dokonywa właściciel lub zawiadowca z upoważnienia inspekcyi fabrycznej, przedewszystkiem na potrzeby następujące: wsparcie robotników, którzy utracili na zawsze możność pracy, lub czasowo, z powodu choroby; na wsparcie robotnic w ostatnim okresie brzemienności, które przerwały pracę na dwa tygodnie przed rozwiązaniem; na zapomogę w razie strat, poniesionych w mieniu przez pożar lub inny wypadek; wreszcie na pogrzeb. Kapitał, utworzony z kar w sumie 100 rs., może być przechowywany u właściciela fabryki. W razie wzrastania funduszu po nad normę, nadwyżka powinna być składana (nie rzadziej, niż dwa razy do roku) w jednej z kas oszczędności Banku państwa, celem oprocentowania. Wycofanie tych wkładów odbywa się na żądanie, podpisane przez właściciela lub zarządzającego fabryką, tudzież inspektora fabrycznego lub jego pomocnika. W razie zamknięcia fabryki, kapitał, powstały z kar, powinien być przekazany właściwemu urzędowi do spraw fabrycznych, celem utworzenia kapitału robotniczego dla całej gubernii. Sumy takie, aż do czasu przeznaczenia specyalnego, przechowywane są w instytucyach Banku państwa *).

Tyle głoszą przepisy fabryczne. Jak widzimy, motywują one wyraźnie kary pieniężne, określają ich cele, zabezpieczają fundusze, które są przeznaczone na ważne potrzeby ogółu robotników. Prawo określa przytem stosunkową wysokość kar. Po za tem wszelkie inne dziedziny pracy są pozbawione hamulca i zastrzeżeń prawnych w tej mierze. Kary pieniężne są wyznaczane dowolnie i samowolnie przez różnych mniejszych i większych zwierzchników. Wysokość zaś sum ściąganych bynajmniej nie jest stosowana do położenia materyalnego pracowników.

Przed kilku dniami organ petersburski, *Syn Otieczestwa*, zebrał znamienne dane, dotyczące warunków pracy na kolejach Południowo Zachodnich. Szczegóły te posiadają charakter ogólny, bo malują właśnie ów system, przyjęty przez wszelkie instytucye zarobkodawcze. W październiku r. z. na rzeczonych kolejach poddano karom pieniężnym 267 osób na sumę 278 rs. 28 kop., a więc na jednego wypada przeciętnie 1 rs. 4 kop. Z liczby tej skazano 22 wyższych urzędników na sumę 34 rs. 28 k., a zatem niższych, tj. konduktorów, zwrotniczych, stróżów itd. 245, którzy musieli zapłacić ogółem 244 rs., czyli przeciętnie po 99 kop. każdy, podczas gdy pierwsi (zawiadowcy stacyj, ich pomocnicy, kasyerzy itd.) po 1 rs. 56 kop.

Zbieracz tych danych obliczył stosunek procentowy kar do płacy i przyszedł do bardzo znamiennych wyników. Biorąc średnio płacę urzędników wyższych 75 rs. miesięcznie, a niższych po 12, przekonał się, że gdy pierwsi uiszczają kary w stosunku tylko 2% pensyi miesięcznej, drudzy, pobierający sześć razy mniej, muszą płacić aż 8%! Charakterystyczne są również powody. Gdy pierwsi podlegają karze za „niedokładne wykonywanie obowiązków," drudzy — znaczna większość — za sen i nieobecność na dyżurach. Zwłaszcza sen jest najczęściej przyczyną kary: śpią konduktorowie na breku podczas biegu pociągów, śpią zwrotniczowie na posterunku, śpią wszelkiego rodzaju dyżurni na stacyach. Śpią, bo nie mogą po kilkunastu lub kilkudziesięciu godzinach czuwania nieustannego, zapanować nad snem. Ta drzemka najczęściej kilkunastominutowa kosztuje ich drogo, a jeszcze drożej społeczeństwo, bo płaci ono ofiarami ludzkiemi w razie katastrofy, wynikłej skutkiem snu niższych pracowników kolejowych. Kosztuje wreszcie drogo i właścicieli przedsiębiorstw komunikacyjnych, bo każda katastrofa przynosi im olbrzymie straty.

Smutne przykłady, które się stały klęską społeczną, nie skłoniły rozdawców placówek pracy do bardzo prostej zmiany systemu: powiększenia liczby pracowników i oględniejszego szafowania ich sił. Na wszelkie niedokładności i ich fatalne skutki mają oni jedno: kary pieniężne, a gdy te nie pomogą — pozbawianie posad! Dzieje się tak wszędzie: na wszystkich kolejach żelaznych, we wszystkich przedsiębiorstwach handlowych, przemysłowych i finansowych. Panuje również ten sam stosunek procentowy kar do płacy, jaki widzieliśmy powyżej w wykazach kolei Południowo-Zachodnich. Zawsze najbardziej są odpowiedzialni pracownicy, zajmujący stanowiska niższe, tj. ci, którzy są narażeni na największy wysiłek, a więc i trudność unikania omyłek. Znamy np. takie wypadki, że pracownicy (zwłaszcza na kolejach), pobierający 20—30 rs. miesięcznie, musieli

*) Zenon Pietkiewicz: „Prawo fabryczne i warunki pracy robotników w Królestwie Polskiem." *Biblioteka Warszawska*, r. 1892. tom I-szy.

---

nastu jeszcze się trochę ujmuje. Sam byłem świadkiem, jak skazańców pędzono do wyładowania parowca Floty ochotniczej w święto, które według przepisów uwalniało od pracy. Kazano im pracować w taki dzień, jaki nawet niegdyś chłopów pańszczyźnianych uwalniał od roboty. Z tego powstają te bunty, które wywołują „środki stosowne" do uśmierzania. Środki, których ofiarami częstokroć padają ludzie zupełnie niewinni, stają się jeszcze bardziej rozdrażnieni i tak już wyczerpani w katordze.

Było tak właśnie wtedy. „Kajdaniarze," aresztanci więzienia korsakowskiego, formalnie oparli się, nie chcieli iść wyładowywać parowca w święto.

— To nie prawo!

Próżno im tłomaczono, że za to będzie wolno wypocząć w dzień powszedni.

— Znamy się na tych obiecankach! Ileż to dni tak przepadło!— odpowiadali i stanowczo nie poszli do roboty.

— Oto do czego doprowadza ta „humanitarność"! — z goryczą i gniewem mówił mi z tego powodu inspektor; — a jakże! Teraz u nas „humanitarność"! Zwierzchność nie lubi, ażeby bito! Cóż, proszę pana, mogę z nimi, łotrami, począć?!

A katorżnik, do którego zwróciłem się z pytaniem:

— Dlaczego nie chcecie chodzić na robotę? Wszakże będzie gorzej!

Odpowiedział mi, machnąwszy ręką:

— Gorzej od tego, co jest, nie będzie. Przecież nam po to dzień świąteczny dano, ażebyśmy mogli przynajmniej dla siebie popracować, chociaż zaszyć, przyszyć cokolwiek. Ciągle bez wypoczynku, a przytem jeszcze i w święto przez prawo uznane, i to w kajdanach trzeba iść pracować dla nich. Czyż może być gorzej?

Pierwszy lepszy kapitan okrętu, pozostający w dobrych stosunkach z inspektorem, łatwo może zmienić porządek, ustanowiony na Sachalinie przez prawo.

— Trzeba pojechać do inspektora! — mówi agent jakiejkolwiek firmy handlowej — powiedzieć, ażeby ludzi przysłał, bo oto przybył nasz parowiec ładowny. Przecież tak stać nie może!

— Przecież dziś według prawa jest święto, uwalniające skazańców od roboty!

— Nic nie znaczy!

— Ależ według prawa!

— Bagatela!

Jeżeli do tego dodamy liche wcale niepożywne jadło, odzież i obuwie nieogrzewające nawet przy zimnie niewielkiem — zrozumiemy, dlaczego czasami cierpliwość tych „doświadczanych" wyczerpuje się, dlaczego uciekają oni, dlaczego wreszcie ciągle są rozdrażnieni.

O ile można, starałem się unikać zwiedzania turmy razem z pp. dozorcami.

Przykro mi było słuchać tego, co im w oczy mówili więźniowie. Mówili z takiem zuchwalstwem, o jakiem nigdy nie mieliśmy pojęcia. Z zuchwalstwem ludzi, którzy niczego już więcej się nie boją. Bez względu na to, że mogą wszelkie najdrobniejsze ulgi utracić, mówili, ażeby tylko dać upust swojemu rozdrażnieniu; nie mogli już sobie nakazać milczenia.

W rykowskiem więzieniu kajdanowem, kiedym przyjechał, panowało takie rozdrażnienie, że inspektor nie miał odwagi wprowadzić mię tam natychmiast.

— To są tacy niegodziwcy, że nawet nie warto ich oglądać! — starał się mię zniechęcić.

— Przecież przyjechałem na Sachalin nie po to, ażeby tu szukać wyznawców cnoty!

Więźniowie oddziału kajdanowego zaprzestali pracować i za to już od dwu tygodni byli trzymani pod kluczem. Wypuszczano ich z „numeru" tylko rano i wieczorem przy zmianie „paraszy," stojącej w kącie. W tem powietrzu zatrutem wyglądali rzeczywiście jak zwierzęta. Przyznam się, że było straszno przechodzić między nimi. Za każdym razem, gdym pytał: „dlaczego nie idziecie na robotę?"— widocznem było, żem dotykał sprawy bardzo drażliwej.

— I nie pójdziemy! — wołali ze wszystkich stron — niech nas wszystkich zamorzą głodem, nie pójdziemy.

— Tyś za co?—zapytałem jednego, który stał nieruchomie przy ścianie i patrzał gniewnym wzrokiem.

trzecią część tej sumy oddawać na karę. Ludzie tej kategoryi prawie zawsze są obarczeni liczną rodziną, borykają się z nędzą, z mnóstwem trosk wiecznie trapiących. I oto nie mogą oni być pewni, ile otrzymają w tym lub innym miesiącu; nie mogą normować swych najniezbędniejszych wydatków według dochodów. Wyobraźmy sobie położenie takiego biedaka, który pobierając 30 rs. miesięcznie, liczy, że na komorne pozostanie 8 rs., gdy naraz akurat taką sumę potrącają mu za drzemkę kilkakrotną podczas dyżuru lub za omyłki w depeszach, wyprawianych podczas największego znużenia. Pozostaje mu jedyna droga: wypełnianie szczerby za pomocą lichwy. Tym sposobem system kar pieniężnych w znacznej mierze przyczynia się do nędzy i niedoli wielu rodzin. Dodajmy, że bardzo często kary te spadają zupełnie niesprawiedliwie, że „niesumienność" i omyłka w obowiązkach służbowych są wynikiem rozpaczliwej walki ze znużeniem.

Prawodawstwo w pogoni za środkami łagodzącymi wszelkiego rodzaju niedomagania społeczne, powinno i na ten system wogóle zwrócić baczną uwagę. Należałoby kary pieniężne znieść zupełnie, a przynajmniej stosować je w wypadkach wyjątkowych. Jednocześnie należałoby się starać o zmiany warunków pracy. Niech będzie zwiększona liczba ludzi, odpowiednio do ogromu zadań, niech oni otrzymają uposażenie w stosunku do potrzeb najpilniejszych i nieodbitych, niech wreszcie w pozycyach oszczędności różnych instytucyj zarobkodawczych zajmie pierwsze miejsce oszczędzanie sił ludzkich, a niewątpliwie potrzeba stosowania kar pieniężnych stanie się bardzo rzadkim wyjątkiem.

NA STARY TEMAT.

I.

Są tematy, które długo się nie starzeją. Pochodzi to stąd, że zawdzięczają one swój byt kwestyom, które tak dawno i tak głęboko zapuściły korzenie w życie społeczne, że pomimo długoletnich sporów i sądów z trudnością dają się usunąć i do archiwum historycznego złożyć. Do takich należy bezwątpienia kwestya wychowawczego znaczenia klasycyzmu i nauk matematyczno-przyrodniczych. Istnieje ona od wieków, rozprawiano o niej wiele, a tymczasem żyje ciągle i pogrzebać się nie daje. Obecnie znany uczony, profesor uniwersytetu wiedeńskiego, E. Mach, autor wielu prac z dziedziny fizyki, mechaniki i, jeśli się tak wyrazić można, fizyki fizyologicznej, poświęca jej jeden z najobszerniejszych rozdziałów swej świeżo wydanej bardzo ładnej i bardzo interesującej książki *). Posłuchajmy wywodów uczonego niemieckiego.

Maupertius, prezes Akademii berlińskiej, w połowie wieku XVIII wyraził życzenie, aby zbudowano ku pożytkowi kształcącej się młodzieży miasto, w którem ta ostatnia byłaby zmuszona używać jedynie języka łacińskiego. Ten kapitalny projekt nie wyszedł na szczęście z krainy, w której kwitną pięknie kwiaty marzeń; powstają natomiast od wieków „łacińsko-greckie domy," które więżą w sobie długo młodzież i wywierają na nią wpływ nawet po za swoimi murami; są to średnie zakłady naukowe. Od wieków filologia klasyczna gra w nich rolę podstawy wszelkiego wykształcenia i rozwoju umysłowego i tyleż chyba czasu trwa już namiętny spór o jej wartość pedagogiczną. Klasycyzm wtargnął tryumfująco do murów szkolnych, poparty potęgą kościoła rzymskiego i wiary katolickiej. Język łaciński był jedynym środkiem, dzięki któremu otwierał swe podwoje sezam wiedzy starożytnej; kto więc z tego skarbca, naówczas jedynego, czerpać pragnął, musiał się uczyć łaciny. Stała się ona międzynarodowym językiem naukowym, dzięki czemu z jednej strony wywierała wpływ dodatni, umożliwiając szybszy rozwój wiedzy, z drugiej zaś — ujemny, tworząc z uczonych rodzaj kasty i tamując szersze rozpowszechnianie zasad nauki śród innych warstw społecznych. Nie można twierdzić, że łacina utraciła swoje znaczenie dominujące w nauce dzięki temu, iż nie mogła podążyć za nadzwyczajnie szybkim rozwojem pojęć naukowych; jak wiadomo, nikt prawie nie wprowadził do nauki tylu nowych pojęć, co Newton, a tymczasem myśliciel ten pisał swe dzieła opokowo, posiłkując się jedynie i to bardzo umiejętnie, językiem Rzymian starożytnych. Inny czynnik wywołał jej upadek. Oto gdy pragnienie wiedzy obudziło się w szerszych warstwach społecznych, łacina stała się hamulcem, powstrzymującym tę dążność: wymagała ona zbyt wiele pracy i energii, a przez to zniechęcała do nauki mniej wytrwałych.

Filologowie twierdzą, iż znajomość języków starożytnych jest konieczną chociażby dlatego, że dotąd nowo wynalazki, odkrycia itd. otrzymują na chrzcie naukowym imiona grecko-łacińskie. Lecz czyż doprawdy konieczną jest znajomość etymologicznego pochodzenia takich słów, jak telefon, telegraf, oftalmoskop itd., aby wobec tych nazw w umysłach naszych powstawały odpowiadające im pojęcia? Powiedzmy więcej: sama znajomość języków starożytnych bynajmniej nie wystarczy nam do zrozumienia całej masy nazw naukowych. Spróbujmy tylko dać przeciętnemu filologowi, niemającemu pojęcia o naukach fizyczno-matematycznych, do przetłomaczenia jakikolwiek rozdział z *Principia* Newtona lub *Horologium* Huyghensa. Jaki będzie ten przekład?

Niech nam będzie wolno dodać tu od siebie malcńką uwagę, potwierdzającą myśl Macha. Medykom, matematykom i przyrodnikom, o ile nie zajmują się specyalnie historyą swej wiedzy, w ich studyach późniejszych łacina i greczyzna żadnej korzyści nie przynoszą. Znacznej większości nazw, któremi się posiłkuje ich nauka, nie spotkali oni nigdy ani u odczytywanych w szkole autorów starożytnych, ani w podręcznikach filologicznych. Ręczyć możemy, że dla większości słuchaczów medycyny określenie tak proste chociażby, jak *carcinoma laryngis*, *ulcus ven-*

*) E. Mach: *Populär wissenschaftliche Vorlesun...* Lipsk. 1897.

— A tobie co do tego? — odpowiedział takim tonem, że jeden z katorżników pociągnął mię za rękaw i szepnął:

— Panie, proszę odejść od niego!

Biorąc mię za przedstawiciela władzy, nie hamowali swego rozdrażnienia; chcieli wyładować przede mną swą gorycz, którą przepełnione były ich dusze.

„Doświadczani" idą na robotę nie inaczej, jak pod konwojem żołnierzy. Często można widzieć taką np. scenę: więźniowie rozpędziwszy po szynach pustą platformę do przewożenia worków mąki, wskakują. Za nimi biegnie żołnierz zadyszany, spocony, z szynelem, w którym się plącze, w jednej ręce, ze strzelbą — w drugiej. Na platformę katorżnicy nie chcą go wpuścić:

— Nie! Przejdź się trochę!

— Ludzie! Po co wy tak go dręczycie? — pytam ich — przecież on taki sam człowiek, jak i wy!

— Eh, panie! Trzeba choć na kimkolwiek złość wywrzeć! — odpowiadają katorżnicy.

Często zdarzają się i takie np. sceny:

— Po co mąki w zanadrze nasypałeś? Rozpinaj się!

— Sam rozpinaj, jeżeli ci trzeba.

Żołnierz rozpina kajdaniarzowi koszulę i inne ubranie. Wysypuje się mąka. Katorga śmieje się. Żołnierz rozpinając trzyma pod pachą strzelbę i bije winnego kolbą.

Raz spostrzegłem, jak jeden „doświadczany" z chorą nogą pozostał z tyłu partyi, ażeby poprawić kajdany. Konwojujący uderza go w bok kolbą.

— Za cóż go bijesz? — mówię — przecież widzisz, że człowiek chory.

Żołnierz obejrzał się:

— A ty nie właź tam, gdzie nie trzeba!

W oczach malował mu się gniew silny.

To są ludzie, którzy na Sachalinie spełniają istotnie ciężkie roboty.

W posterunku Aleksandrowskim przy klubie urzędników służy lokaj, Mikołaj, były konwojujący, który zabił katorżnika i teraz sam jest skazany na katorgę.

— Jakże ci życie płynie? — pytam.

— Ot, tak sobie! — odpowiada — przedtem rzeczywiście konwojującym byłem, a teraz, dzięki Bogu, dostałem się do katorgi.

— Jak to „dzięki Bogu?"

— A tak! Robota ta sama, co u nich. Także bierwiona i drwa ciągać trzeba. A jeszcze i pilnuj ich! Każdy ci chce podłość, psotę jakąś zrobić, „zasypać." Tylko i patrzeć, jak się wpadnie za nich. Trzeba dobrze pilnować, ażeby który nie uciekł i strzedz się, ażeby nie zabili. A tknij tylko którego! Sam się dostaniesz pod sąd. Nie! W katordze jakoś lepiej. Tutaj nikogo pilnować nie trzeba. Niech sobie mnie pilnują!

Proszę przejść obok partyi kajdaniarzy, idących pod konwojem. O czem mówią? Naturalnie o konwojujących. Opowiadają dykteryjki o głupocie i niepojętności żołnierskiej, wykpiwają ich powierzchowność, albo wprost łają.

Katorga, trzeba przyznać, umie dokuczyć, zalać za skórę. Kroczą z rozdrażnieniem na twarzach, wykrzywionych gniewem; ledwie panują nad sobą.

— A ty słuchaj! — wołają.

Zamilknie partya na chwilę, wtem ktoś zaczyna:

— Jacy ci żołnierze durnie! Ani pośwień rozumu!

I znowu to samo od początku.

Nic dziwnego, że ci nieszczęśliwi w końcu dochodzą do okropnego rozdrażnienia.

Nawet urzędnicy skarżą się na nich:

— Gorsi są od katorżników.

Zbliżyłem się zanadto do jakiegoś spichlerza:

— A ty, dyable, czego się tu wałęsasz! — woła szyldwach — nie śmiej tutaj chodzić!

— Czego się gniewasz! Powiedziałbyś spokojnie.

— Można tu się rozgniewać! — odpowiada trochę jakby łagodniej; ale natychmiast znowu woła z irytacyą: — Nie śmiej ze mną rozmawiać! Jeżeli nie przestaniesz, to ja cię kolbą!

(C. d. n.).

triculi, phtisis pulmonum itd. pozostałyby tylko pustym dźwiękiem, gdyby im jednocześnie nie wytłomaczono, że oznaczają one raka krtani, wrzód żołądka, suchoty płuc itd. A cóż dopiero mówić o całej masie takich nazw, jak *blepharitis, endocarditis, strictura* it. d.!

Lecz przypuśćmy nawet — ciągnie dalej profesor wiedeński — że znajomość języków sta ożytnych pomaga do głębszego uświadamiania sobie znaczeń terminów naukowych; lecz czy dla osiągnięcia tak drobnych rezultatów warto poświęcać od 8 do 10 lat mozolnej pracy?

Niegdyś nauka i sztuka starożytna była jedyną nauką i sztuką, i tylko filologia dawała klucz do zrozumienia pierwszej i do odczuwania ideałów drugiej. Dziś odbiegliśmy od ideałów myśli klasycznej daleko; czyż można więc ciągle twierdzić, że językoznawstwo klasyczne jest jedyną podstawą wykształcenia wyższego? Prawda, nieraz może śmiech wzbudzać przyrodnik, który plącze takie pojęcia, jak „etymologia" i „entomologia," lecz chyba stokroć śmieszniej zym bywa filolog, którego wprawiają w zakłopotanie najprostsze zjawiska otaczającej nas przyrody. Znajomość języków starożytnych może okazać się bardzo pożyteczną dla prawników, historyków, teologów, filozofów, lecz stąd daleko jeszcze do twierdzenia, że powinna ona leżeć u podstawy wykształcenia całej młodzieży, gotującej się również i do innych zawodów, mającej zamiar uprawiać inne zagony niezmierzonego pola wiedzy.

Jedyna niemal korzyść, jaką mamy ze znajomości języków klasycznych, jest chyba ta, że możemy się zachwycać arcydziełami literatury starożytnej, studyując je w oryginale. W samej rzeczy, niemałą może być rozkosz, jaką sprawia odczytywanie historyi wędrówek Odysseja, walk trojańskich, naiwnych opowiadań Herodota — w boskiej mowie Hellenów, lub błyskotliwych mów Cycerona, dowcipnych od Horacego—po łacinie. Lecz czyż doprawdy dorobek naukowo - literacki Greków i Rzymian jest jedynym, jaki studyować warto? Czyż inne narody nie stworzyły w dziedzinie myśli nic większego, coby bardziej na poznanie zasługiwało? A zresztą płody twórczości starożytnej można bardzo dobrze poznać z tłomaczeń, i wielu ludzi wykształconych, nieposiadających ani greckiego, ani łaciny, zna życie duchowe wieków klasycznych daleko lepiej, niż niejeden wychowaniec gimnazyum filologicznego. Prawda, przy czytaniu jakiegokolwiek utworu w przekładzie, tracimy nieco z jego piękności, lecz różnica jest zbyt nieznaczna, aby dla uniknięcia jej 8 lat pracować. (Gdyby Franklin z grobu powstał, zawołałby pewnie: „you give too much for your whistle!").

Rozpowszechnionem jest mniemanie, że wszelkie „wyższe, idealne wykształcenie" oraz rozszerzanie i pogłębianie poglądu na świat można zdobyć tylko przy pomocy studyów hist ryczych i filologicznych, że zresztą nie należy zaniedbywać nauk matematycznych i przyrodniczych, gdyż one równi z pewną korzyść przyniosą. Ze zdaniem tem nie można się zgodzić. Byłoby zresztą dziwnem, gdyby człowiek z kilku czerepów glinianych, zapisanych kamieni i skrawków pergaminu, które przecież stan wią tylko cząstkę natury, mógł się więcej nauczyć, więcej pokarmu duchowego zdobyć, niż z całej pozostałej przyrody. Prawda, człowieka przedewszystkiem ob hodzi człowiek, lecz nie jedynie on. W świecie klasycznym tkwi dużo poezyi, lecz znacznie więcej jest jej w otaczającym nas. Zresztą, czas się zgodzić, że starożytny pogląd na świat, jakkolwiek byłby wzniosłym, zestarzał się i już dla nas miarą być nie może. (D. n.)

M. Mutermilch.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Oświata ludu.

W sprawie biblioteczek gminnych i wogóle czytelnictwa ludu skrzypią od kilku tygodni pióra dziennikarskie, skracając przedział między: powinno być a — będzie energią życzeń i gorączką projektów. Mam pod tym względem małe, ale rzetelne doświadczenie i dlatego rzucę kilka słów w ten kosz rzeczy pożytecznych, które po pewnym czasie okazują się „próbami bez wartości," wolnemi od wszelkich opłat, prócz kosztów przesyłki.

Niewątpliwie mamy pokaźny zastęp wydawnictw ludowych, ale nie wszystkie one odpowiadają swemu zadaniu. Niektóre bowiem posiadają z umysłowością ludu tyle wspólnego, że na swoich okładkach noszą jego adres. Prosiłbym autorów o wybaczenie mi mojej niedomyślności i wyjaśnienie: jaką wartość dla naszego chłopa mieć może rozprawka o Egipcyanach, Gutenbergu lub Franklinie, gdybym wielekroć nie przekonał się dowodnie, że nie ma prawie żadnej. Wymagać od niego, ażeby zajął się narodem, o którym nigdy nie słyszał i który tylko wyjątkowo zaprząta uwagę nawet jednostek oświeconych; żądać od prostaczka, który ledwie nauczył się czytać, ażeby ocenił doniosłość wynalazku druku, jest to narzucać jego myśli przedmioty, do których ona wcale nie ciąży. Pedagogowie usilnie zalecają rozpoczynać ukształcenie dziecka od rzeczy mu najbliższych i powoli przedłużać promień koła wiedzy. Otóż tą samą drogą należy postępować z ludem. Wprzódy trzeba go zaznajomić z tem, o czem on się bezpośrednio styka i co mu zasłania zagadka lub niewiadomość. A gdyby nawet w stopniowym postępie swego poznania nie doszedł do Egiptu, niewiele na tem straci.

A więc pierwszem pytaniem, jakie staje przed nami, jest to: co lud nasz chce i co przedewszystkiem powinien czytać? Badania, jakie przeprowadzono gdzieindziej, a częściowo i u nas, wskazują, że on pragnie czytać głównie książki pouczające. Fakt ten zgadza się najzupełniej z naturą rozwoju ludzkiego. W człowieku daleko wcześniej objawia się ciekawość wiedzy, niż poczucie artyzmu. Ciekawość ta bardzo wyraźnie występuje już w zwierzętach, góruje ona również nad innemi właściwościami umysłu u ludów pierwotnych. Dziki, który nie zdradza najmniejszej wrażliwości na najpiękniejsze twory sztuki, skwapliwie chwyta od Europejczyków okruchy wiedzy. Podobnie lud prosty. Dla niego każda książka stanowi źródło nauki a nie zadowolenia estetycznego. Niezmiernie charakterystycznem jest to, co mi powiedział pewien włościanin po przeczytaniu paru znakomitych powieści, osnutych na życiu ludu, które, jak mi się zdawało, powinny szczególnie mu się podobać:

— E, proszę pana, to do niczego. Niby u nas każde dziecko nie wie, że po wsiach chodzą dziady, że chłopaki za dziewuchami latają, że jedni ludzie pracują w domu, a drudzy wynajmują się w mieście do noszenia cegły. Co za nowina! Nie mieli też państwo o czem pisać!

Krytyka ta jest bardzo zrozumiałą. Ów prostaczek nie mógł ocenić artyzmu przeczytanych utworów, tylko sądził je jako podręczniki wiedzy, a tą wiedzą były najzwyklejsze wypadki życia wsi, więc mu się wydały powszedniością niegodną książki. Jest to coś podobnego, jak gdybyśmy chłopu dali dobrze wyrobiony i wypieczony chleb razowy, który on codziennie jada. Dostrzegłby w nim nieco lepszy smak, ale zawsze byłby to dla niego tylko — chleb razowy.

Pamiętając o tem, objaśnimy sobie łatwo, dlaczego lud nasz chętniej czyta powieści *pańskie*, zwłaszcza zaś bohaterkie i fantastyczne. Znajduje w nich bowiem nieznane widoki, nieprzeżyte wypadki, ciekawe stosunki, odmiennych ludzi — słowem — naukę. Tysiąc razy przekonamy się, że woli on historyczne utwory Sienkiewicza, niż nowele Konopnickiej lub Dygasińskiego i bynajmniej nie z powodu różnicy talentu, lecz treści. Z tejże racyi ma on wspólne upodobania z dziećmi i znajduje szczególną przyjemność w czytaniu ich literatury fantastyczno-przyrodniczej. Przygody wszelakiego rodzaju Robinsonów pochłaniają go tak samo, jak naszych dziesięcioletnich malców, bo otwierają mu świat nieznany. Więc czemuż go nie zajmują Egipcyanie? — zapytacie. Odpowiem: a czemu oni nie zajmują Was? Za słabo wiążą się z naszą umysłowością i życiem.

Jeżeli to, co powiedziałem, jest spostrzeżeniem ścisłem, to wysnuwa się z niego wniosek, że dla ludu naszego należy wydawać przeważnie książki pouczające, bądź pod postacią wykładów, bądź opowiadań, a w każdym razie ich treść nie powinna leżeć po za granicami jego pojęć, uczuć i potrzeb duchowych.

Ponieważ jest to faktem niezaprzeczonym, że lud nasz chce się uczyć i ponieważ dotychczasowy zasób przeznaczonych dla niego wydawnictw czyni zadość temu pragnieniu zaledwie w małym stopniu, sądzę więc, że niezmiernie pożyteczną książką byłaby umiejętnie i stosownie dla niego opracowana *encyklopedya*, tj. skarbczyk różnostronnej wiedzy, dający zrozumiałe objaśnienia we wszystkich przedmiotach, które mogą potrącić o jego umysł. Nie chodziłoby w niej — jak w podobnych dziełach dla klas ukształconych—o wyczerpanie całej wiedzy i wytłomaczenie wszystkich ważnych jej szczegółów, ale o tę szczuplejszą i skromniejszą jej dziedzinę, która się mieści w życiu i wymaganiach umysłowych chłopa. Może on zupełnie obejść się bez wiadomości o tem, co to jest *dront* lub *pizang*, ale powinien rozumieć, co to jest *hypoteka, luteranizm, gwiazdozbiory, cis, rasy bydła* itd. Pp. Promyk, M. Brzeziński i inni złożyli tyle dowodów talentu i znajomości rzeczy w pisaniu dla ludu, że niewątpliwie podołaliby temu zadaniu bez wielkiego nakładu pracy.

Rzucam tę myśl w nadziei, że ją ktoś podejmie i szczęśliwie wykona, że ona nie wyleci jak plewa z młynka naszych projektów.

W rozprawach dziennikarskich nad oświatą ludu wypryskuje często frazes o udziale inteligencyi wiejskiej w tej pracy. Śliczne posłannictwo — ale jak tu marzyć o tem, ażeby do nauki i czytania zachęcali prostaczków ci, którzy sami nie chcą uczyć się i czytać? Dwory przedstawiają prawie taki sam widok w swych księgozbiorach, jak chaty wiejskie. Zapewnie, najuboższy z nich posiada kilka modlitewników, kalendarz, czasem jakieś pismo peryodyczne i parę powieści, ale taką bibliotekę znaleźć można również w niejednej chałupie. Arystokracya małomiasteczkowa studyuje karty przy zielonym stoliku, szlachta przeżuwa siano polityki i odsiewa pretensye serwitutowe; pierwsza myśli o tem, jak chłopa oskubać, druga — jak go w karbach utrzymać. Kto więc ma oświecać miliony ciemnego ludu? Czy ta garstka rozumnych i uczciwych ziemian, oficyalistów, lekarzy itd., która pływa jak nieliczne oka oliwy na morzu wsi? Gdybyśmy każdemu z nich dali szkołę, jeszcze nie starczyłoby nauczycieli. Znalazłszy jakiś cudowny środek — niestety, wszystkie dotychczas okazały się bezskutecznymi — należałoby go przede-

wszystkiem użyć do podniesienia oświaty... inteligencyi wiejskiej i wprzód, niż w gminach, założyć biblioteki w dworach i domach „naturalnych przewodników“ ludu. Być może, iż od chwili, kiedy zaczęto wydawać w Warszawie książki po 19¼ kopiejki za tom, może powstaną małe księgozbiory u „panów.“

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ZARYS DZIEJÓW FILOZOFII PIERWOTNEJ.

II.

To są wszystko fakty, przez człowieka zdobyte na drodze doświadczalnej“ — i to, że cała przyroda przedstawia jedno jestestwo żyjące, i to, iż ludzie, zwykle czarodzieje, mogą przybierać kształty zwierząt lub za pomocą zaklęć sprowadzać deszcze i odganiać huragany!..

W rzeczy samej, badając całokształt rozwoju filozoficznego, od ogniw najniższych do najwyższych, od naiwnych wierzeń Australczyka do naukowych poglądów myśliciela naszej cywilizacyi, będziemy gromadzili jedynie dowód za dowodem, że myśl filozoficzna rozszerza swoje widnokręgi i pogłębia wywody zawsze w ścisłej zależności od warunków otoczenia: rozległości, w jakiej człowiek ujarzmił przyrodę, oraz faktów, których przy stykaniu się z nią dostarcza doświadczenie codzienne. Twierdzenie to, nie poparte dostatecznymi przykładami, wygląda na razie może podejrzanie, ale właśnie należy ono do liczby tych, których dowieść niepodobna paru faktami, tylko rozbiorem całego pochodu umysłowego ludzkości. Wygłaszamy je tutaj poniekąd gołosłownie, podane zaś poniżej przykłady winny nie tyle dowieść naszej tezy, do czego nie rościmy pretensyi, lecz jedynie uwydatnić ideę, w niej zawartą, i wykazać w sposób nieścisły, jak umysł dla budowy pojęć swoich o wszechświecie pochłania materyał z otoczenia bezpośredniego.

G. S. Hall*), pedagog amerykański, rozesłał kwestyonaryusz, w którym zadawał pytania, jak dzieci, wstępujące do szkółek elementarnych, przedstawiają sobie i tłomaczą zjawiska przyrody. Otrzymane odpowiedzi dostarczyły materyału dla obrazu poglądów kosmicznych dziecka — rzec można nawet filozofii dziecięcej. Naturalnie, zasadnicze pierwiastki zostały młodocianym filozofom podsunięte przez otoczenie, tj. nie są już tworem ich własnego umysłu. Ale niejeden z nich umiał włożyć w to, co usłyszał, tyle samodzielnego rozumienia, tak otoczył podsunięte pojęcia akcesoryami własnego pomysłu, iż bądź co bądź wyniki badań Halla mogą dostarczyć nam dowodów, jak otoczenie bezpośrednie i doświadczenie, czerpane w życiu powszednim oddziaływają na kształtowanie się poglądów filozofii pierwotnej.

Z pracy Amerykanina przytaczamy tylko wyjątki charakterystyczniejsze:

Świat jest płaski, pokryty skorupą, tj. niebem. Niebo jest tak cienkie, iż z łatwością możnaby je przebić lub przedziurawić. Może zrobione ze śniegu, lecz ponieważ jest bardzo wielkie, trzeba długo je *zamiatać*.

*) G. S. Hall. *Contents of children's minds on entering schools* (w *The paedagogical Seminary*, Worcester Mass., tom I, 1891, str. 160—163. i in.

Niektóre dzieci mniemały, że słońce z nadejściem nocy chowa się do ziemi lub *za domy*, chodzi po ziemi, lata, spaceruje. Były takie, które twierdziły, że Bóg bierze je do siebie, kładzie do łóżka, rozbiera na noc i ubiera rano; albo że ono świeci po drugiej stronie nieba lub wędruje za księżycem tak samo, jak podczas dnia księżyc za słońcem. Może się ono znajdować tam, gdzie księżyc, my go jednak nie widzimy, bo jest ciemno. Księżyc bywa niekiedy na pół pod niebem, na pół w niebie. Pojawia się dopiero wtedy, gdy jest noc i ludzie pragną iść na spacer lub zapominają zapalić lampę.

Gwiazdy są to może iskry z maszyny lub z domów, albo Bóg je zapala przy pomocy zapałek.

Grzmot.. Bóg się gniewa, pcha beczki, obraca dużą klamką, coś rozbija, chodzi ciężko, zrzuca belki, sypie węgiel, uderza młotkiem, wydaje dźwięki grzechotką;

albo: chmury uderzają nawzajem o siebie lub ktoś je czyści;

albo: domy walą się, działa strzelają w niebie.

Błyskawica: Bóg otworzył drzwi, pokazał palec, zakręcił kurek od gazu, zapalił odrazu kilka zapałek, spalił papier.

Bóg jest wielkim mężczyzną, którego często można widzieć na niebie lub w obłokach, w kościele i nawet na ulicy. Mieszka on w dużym pałacu, w ogromnej kamienicy. Robi lampy, dzieci, psy, drzewa, pieniądze. Aniołowie pracują na niego. Jest podobny do papy, księdza, Froebla. Zmarłe dzieci dostają w niebie cukierki, koniki, strzelby, ładne ubrania, złote zegarki, lody z wodą sodową. Niema tam szkoły. Także lalki z roztrzaskanemi głowami idą do nieba. Zmarli jadą w czarnym pociągu, dochodzącym aż do samego nieba.

W powyższem przedstawieniu zaznaczyliśmy składowe części filozofii dziecięcej, wzięte przez młodociany umysł z otoczenia bezpośredniego. Maszyny, domy i kamienice, gaz i zapałki, działa i pociągi są przeniesieniem wzorów codziennych we wszechświat. Gdybyśmy od małoletniego przedstawiciela naszej cywilizacyi udali się do Australczyka, odnaleźlibyśmy tam takie same pojęcia o ziemi, jako o płaszczyźnie, pokrytej skorupą, o niebie, jako o czemś materyalnem. Są to pojęcia, nasunięte przez analogię z przedmiotami bezpośredniego doświadczenia, niewychodzącego po za pewną ciasną i nieznaczną sferę. Słońce zamiast prowadzić spokojny, mieszczański tryb życia, będzie w swojej wędrówce po niebie narażone na niebezpieczeństwa, w które tak obfituje okres dzikości; nikt go nie będzie rozbierał i kładł do łóżka, lecz przeciwnie czatowanoby na nie z ukrycia z celami najgorszymi. Niektóre plemiona australskie mniemają*), że ludy, mieszkające w dalszej odległości, łapią codziennie księżyc i słońce i dlatego ciała te znikają z powierzchni nieba. Zwłaszcza co do księżyca krąży tam bardzo wiele podań. W postaci człowieka schodzi on często na ziemię, i są tubylcy, którzy twierdzą, iż spotykali go podczas połowu ryb. Na poparcie tej tak śmiałej tezy Australczyk ma „fakty“ i „doświadczenia.“

Przechodząc po szczeblach od ludów, posiadających mniejszy zasób nagromadzonego doświadczenia, do szczepów, których wiadomości techniczne są obfitsze, a władza nad przyrodą rozleglejsza, będziemy spotykali coraz gruntowniejsze poglądy na zjawiska natury. Garcilasso de la Vega opowiada o pewnym księciu z rodu Inków w Peruwii przedkolumbowej, iż rozmyślając nad wierzeniami przodków, zwłaszcza zaś nad czcią ich dla słońca, zwątpił o rzetelności podań. Jeżeli słońce jest wszechmocne, dlaczego musi ono podlegać prawom? Dlaczego z dnia na dzień odbywa po niebie tę samą drogę, zamiast dowolnego spacerowania po całym firmamencie? Z faktów tych książę wywnioskował, że istnieje wola wyższa, rozkazująca słońcu, i wzniósł świątynię tej nieznanej przyczynie Andrew Lang, przytaczając w dziele swojem to zdarzenie, czyni bardzo słuszną uwagę, że na pewnym szczeblu rozwoju umysłowego, człowiek, widząc, że słońce swojem zachowaniem przypomina zwierzę oswojone, musiał koniecznie wpaść na myśl, iż ktoś z pomocą sideł lub wprost siłą ukrócił samowolę słońca i zmusił je do prowadzenia systematycznego trybu życia **). Gdybyśmy przytoczone zdanie folklorysty angielskiego mieli przyjąć bez żadnych zastrzeżeń, musielibyśmy przypuścić, iż zanim umysł ludzki doszedł do wniosku o istnieniu woli wyższej, zmuszającej słońce do posłuszeństwa, uprzednio człowiek powinien był oswoić zwierzęta i stamtąd zaczerpnąć wzorów dla mitów o możliwości ukrócenia ciała niebieskiego. Dziki, tułający się z dnia na dzień po obszarze plemiennym i niemający jeszcze oswojonego zwierzęcia przy sobie, nie wpadłby na ideę księcia peruwiańskiego. Przynajmniej prawdopodobieństwo powątpiewań, jakich pastwą był umysł jednego z Inków, za okresu dzikości było bardzo nieznaczne.

Może rozumowanie A. Langa nie jest słuszne, w każdym razie uwydatnia myśl naszą o związku pomiędzy sferą doświadczenia, właściwą pewnemu okresowi dziejowemu, a ówczesnymi tworami działalności umysłowej. Empirya codzienna działa. Człowiek, rozszerzając władzę swoją nad przyrodą, co innemi słowy znaczy, iż umiejętności techniczne wzrastają, iż obszar wyzyskiwanych potęg naturalnych jest coraz rozleglejszy, wraz z tem zdobywa racyonalniejsze wyobrażenie o związku pomiędzy zjawiskami wszechświata, przeinacza dawne zapatrywania, niekiedy odrzuca je zupełnie, wprowadza do nich nowe pierwiastki. „Wytwory wyobraźni Indyanina opierają się zawsze na czemś rzeczywistem i fizycznem“ — powiada Schoolcraft. Jego zdaniem, nawet najpierwotniejsze poglądy filozoficzne wychodzą z faktów. Tylko, że tych faktów nie zbadano wszechstronnie, bo nawet niepodobna było tego dokonać; związku przypadkowego pomiędzy nimi nie wyodrębniono od zależności stałej, przyczynowej, co więcej, tej ostatniej nawet nie spostrzeżono, tylko ją utożsamiono z powiązaniem chwilowem, pozornem, wreszcie nie wyróżniono należycie przedmiotowego istnienia zjawisk od ułożeń podmiotowych.

L. Krzywicki.

*) Curr. *The Australian race*, tom II, str. 449—450.

**) A. Lang, tamże, 116 i nast.

Erazm Majewski: *Drobne prace i notatki z dziedziny archeologii przedhistorycznej i etnografii.* Warszawa. Str. 128.

P. Erazm Majewski zbyt ceni każde swoje zdanie. Tylko tem można wytłomaczyć obecność w jego książce rzeczy, które niewątpliwie mógłby był pominąć, a które posiadają tylko znaczenie przyczynków do biografii autora. Dla wiedzy jest rzeczą ciekawą, jak wyglądają zbiory archeologiczne p. Majewskiego, nie zaś, ile posiada on szaf i w jaki sposób ustawił je; obchodzi nas treść jego komunikatów, ale nie gołosłowna wzmianka, iż mówił w Towarzystwie ogrodniczem.

Zbiór „drobnych prac i notatek“ przedstawia autora jako umysł bardzo ruchliwy i interesujący się wielu przedmiotami, oraz usiłujący innych zachęcić do roboty naukowej. Takie prace, jak „Słownik na-

zwisk zoologicznych i botanicznych," może zawierający błędy, będący jednak czynem dokonanym, który łatwiej jest krytykować, niż uskutecznić, taki cierpliwie i sumiennie zebrany materyał co do przesądów o wężu itd., są niewątpliwie pożądanymi wkładami do naszego piśmiennictwa.

Przyznawszy jednak autorowi zasługę, musimy zarazem stwierdzić, że w większości wypadków jest on dyletantem. Ten rys zwłaszcza ujawnia się w jego pracach z dziedziny etnografii, zamieszczonych w ostatnim dziełku. Są tam artykuły, przedrukowane z pism, niewątpliwie dobre dla *Wędrowca*, lecz niewłaściwe dla książki, mającej uchodzić za przyczynek naukowy. Niektóre zpośród nich, np. rozprawka o kulcie niedźwiedzia, są zaopatrzone nawet w cytaty, ale sprawiają wrażenie, że wiele z nich pochodzi z drugiej ręki. W pierwszym ustępie (str. 21) p. E. Majewski powołuje się na Greya, w odsyłaczu zaś na Fisona i Howitta, tymczasem w tekście zamieszcza rzeczy, których niema ani u jednego z tych autorów, tylko u Broughsmytha — zamilczanego. Jest to wzmianka o „swojskim niedźwiedziu," którego p. E. M. zamienia na „australskiego," w ten sposób rozszerzając zakres faktów o kulcie tego zwierzęcia. Nie mając prac źródłowych pod ręką, mówi o niedźwiedziu tam, gdzie go nie było — ląd kopalny zna „swojskiego niedźwiedzia," jak go nazwał gmin angielski w N. Holandyi, lecz to zwierzę nie ma nic wspólnego z niedźwiedziami, nauka zna tylko *Phaseolaretosa cinereus-a*. W innem miejscu (str. 20) autor Morganowi każe być głosicielem poglądów, których nadaremnie poszukiwalibyśmy u tego wybitnego badacza. Nie wiem, na podstawie jakich źródeł p. Majewski pisał rozprawkę o ludożerstwie na Markizach, a są w niej pewne ustępy bardzo podejrzane. Powtarzamy, iż w obu wypadkach chodzi nam nie o oświetlenie rzeczy przez autora, ale o wartość materyału. Zresztą to oświetlenie nasuwa wiele uwag. Zatrzymamy się wszakże tylko przy jednym szczególe. W pracy o ludożerstwie czytamy: „Najpierwszym gruntem, niejako prowadzącym do kanibalizmu, jest religia, która wymaga ofiar ludzkich. Ciało ludzkie stanowić ma najprzyjemniejsze i najwłaściwsze pożywienie bogów." Niestety, nie zwyczaje ludzkie kształtują się według wzorów zaziemskich, ale przeciwnie te ostatnie są zawsze tylko przeniesieniem do nieba stosunków ziemskich; ciało ludzkie tylko dlatego stanowi najprzyjemniejsze i najwłaściwsze pożywienie bogów, ponieważ ludzie uważali je ongi za takie, religia tylko przyczyniła się do zachowania zwyczaju, gdy wyszedł on już z użycia codziennego.

Podkreślając te punkty, wyrządziłem pewną krzywdę książce p. E. Majewskiego. Dotknąłem bowiem rzeczy najsłabszych, które znalazły się w niej tylko dzięki zamiłowaniu autora do każdego zdania przez siebie napisanego. Są tam inne prace, bardzo pożyteczne, kwestyonaryusze np. i instrukcye. Zresztą punkt ciężkości dziełka spoczywa nie w etnografii, lecz w studyach archeologicznych. Nie ośmielam się pisać o tej jego stronie, gdyż wyszedłbym po za granice mojej znajomości rzeczy.

Muszę przecież zrobić jedno zastrzeżenie: p. E. M. pisze: „Są działy wiedzy, jak astronomia, geolgia i wiele innych, dla których skutecznie mogą pracować tylko specyaliści. Prahistorya należy do tych nielicznych, które pod sztandar swój powołują szerszy zastęp ogólnie wykształconych lubowników przedmiotu i najwięcej właśnie im zawdzięczają. Każda taka jednostka z łatwością może dorzucić swoją cegiełkę do budującego się gmachu, a zdarza się często, że cegiełki, dostarczane przez niespecyalistów, okazują się bardzo poważnemi i przyczyniają się w wysokim stopniu do postępu nauki." Ustęp ten zostawia wrażenie, jakoby autor bronił prawa dyletantów do wyrządzania psot na polu bardzo poważnej nauki. Zdarza się, iż trzeba temu, kto przypadkowo wykopał urnę na swojem polu, udzielić wskazówek, co ma począć. Ale jest to *malum necessarium*. Lecz kto pragnie pracować istotnie z pożytkiem i pchnąć naukę archeologiczną na nowe tory, ten musi umieć bardzo wiele. Agenci archeologiczni, pracujący przy fundacyi Smithsońskiej w Waszyngtonie, przechodzą długą szkołę przygotowawczą, zanim wezmą się do studyów samodzielnych. Mimochodem zaznaczę, iż badacze, pracujący na niwie archeologii przedhistorycznej, powinni zapoznać się z wynikami studyów zamorskich. Taki Cushing, Mindeleff, Otis Mason nagromadzili cenny materyał, dotyczący wyrobu sprzętów i narzędzi kamiennych. To, co dla nas w Europie jest zamierzchłą przeszłością, tam stanowi żywą jeszcze teraźniejszość. Zapoznanie się z ich pracami może więcej dać archeologowi, niż studya nad piśmiennictwem europejskiem.

K.

Jan Karłowicz: *Słownik wyrazów obcego, a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim.* Zeszyt II (od F do K włącznie). Kraków, 1897.

Chcąc sumiennie spełnić obowiązek sprawozdawcy, przeprowadziliśmy ścisły rozbiór słownika, lecz zamiast spodziewanych niedokładności i usterek, znaleźliśmy obok uwzględnienia wszystkich warunków leksyko-logicznych, ład, prawidłowość i bogatą erudycyę, dowodzącą długoletniej pracy, sumienności i znajomości przedmiotu. Słownik ten na pozór suchy, ma jednak stronę nietylko ciekawą, ale i zajmującą. Któż np. nie zna wyrazu *fagas*, a nikt zapewne nie przypuszcza, że nazwa ta pochodzi z łacińskiego *vogus* vel *vagus* = błędny, włóczęga. *Fanaberya* jest pochodzenia żydowskiego „fajne berjes," tj. niem. *fein* i hebr. *biriah* = zuch. Znany wyraz *fidibus*, *fidebus* pochodzi od wyrażenia łacińskiego: „fidibus fratribus," tj. wiernym braciom. Były to słowa, od których zaczynały się kartki, zapraszające studentów na palenie tytoniu w Niemczech, gdy w XVII w. zabraniano uczącym się używania tego narkotyku. Temi właśnie kartkami zapalano fajki. *Foksal*, w znaczeniu miejsca zabaw za miastem, pochodzi od nazwy, istniejącej niegdyś pod Londynem wsi Vauxhall. *Folwark* z średnio-górno-niem. *vorwere* = dworek, ferma pod miastem. *Frant* z niem. *Freund*. *Frasunek* z niem. *fressen* za pośrednictwem czesk. *fresuňk*. *Fujara* z węg. *furolya* = dudka, fujarka od *fur* = wiercić, świdrować. *Gach* z niem. *Gauch* = kochanek, kawaler. *Gazeta* z włosk. *gazzetta*, tj. drobnej monety, którą za dziennik płacono. *Gdyrać* z niem. *gnurren*, częściej *knurren* za pośrednictwem czesk. *knourati*, *kňurati* = piszczeć, miauczeć. *Gehenna* = piekło od doliny Hinnom po hebr. *gei benhinnom*. Było to miejsce rozrywek pod Jerozolimą, gdzie Żydzi wystawili świątynię Molocha, zniesioną z rozkazu króla Jozyasza i zamienioną na zbiorowisko nieczystości miejskich. *Goj* w liczbie pojedynczej po hebr. lud., w liczbie mnogiej (goim): cudzoziemcy, barbarzyńcy, wrogowie itp.

Wyrazy przytoczone dają wyobrażenie czytelnikowi o wartości i ważności rzeczonego dzieła, które objaśnia tysiące nazw w nauce, w przemyśle i we wszystkich gałęziach pracy ludzkiej używanych. Zdaje się, że nie potrzebujemy zalecać doniosłości praktycznej dzieła, zasługującego na szybkie wśród publiczności rozpowszechnienie.

Justyn Feliks Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Adolf Dygasiński: *Dramaty lubądzkie.* Powieść. Warszawa. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1897. Str. 134 *Złamane życie.* Powieść. Warszawa. Nakład i druk Emila Skiwskiego. 1898. Str. 192.

Dygasiński w swoich utworach beletrystycznych, jak wiadomo, jest więcej myślicielem, niż artystą, nowelistą raczej, a nie powieściopisarzem. Bystry obserwator życia zwierząt, wyborny znawca stosunków ludowych, należy on, wtedy zwłaszcza, gdy się obraca w sferze, odpowiedniej dla swojego talentu, do najbardziej swojskich pisarzy naszych. Malując z zamiłowaniem postaci zwierzęce, a zwłaszcza psy, lisy i wilki, wysuwa je często na plan pierwszy w swych obrazkach. Nikt też, prócz niego, nie mógł chyba wpaść u nas na jedyny dotąd w swoim rodzaju pomysł wprowadzenia psa do dłuższego utworu powieściowego w charakterze głównego bohatera, co u autora „wilka, psów i ludzi" widzimy w niedawno wydanym „Asie."

Nietylko zresztą w beletrystyce maluje autor zwierzęta i staje gorąco w ich obronie. Z pod pióra jego wyszła świeżo wartościowa rozprawa p. t. „Nędzarze życia," gdzie w szeregu szkiców skreślony został wymowny obraz niedoli, którą cierpią przedstawiciele świata zwierzęcego w ciężkiem jarzmie ludzkiem. Niewielkie to dziełko należy do kategoryi tych pożytecznych i szlachetnych książek, którym wszędzie, a zwłaszcza u nas, życzyćby należało jak najszerszego rozpowszechnienia. Bo istotnie nikt chyba nie jest od nas głuchszym i mniej wrażliwym na ten krzyk rozpaczy, na tę wielką naukę moralną, zawartą „w klatce, która ptaka więzi, w budzie, w której pies na łańcuchu spoczywa, w zwierzyńcu, gdzie ponury mruk niedźwiedzia miesza się z rykiem lwa, wyciem wilka i piskiem małpy, w szlachtuzie, gdzie pod ciosami wstrętnej pałki straszliwe głosy wydają mordowane zwierzęta, a inne, skrępowane, przeraźliwym wzrokiem patrzą, jak rzeźnik współbraciom ich gardła podrzyna. ."

Z dwu nowych powieści Dygasińskiego — „Dramaty lubądzkie" mają przewagę nad „Złamanem życiem," jaką daje szczerość i werwa pisarska, łącznie z tą pewnością pióra, która wypływa zazwyczaj z blizkiej i dokładnej znajomości odtwarzanego środowiska. W utworze tym nie mamy wprawdzie do czynienia z ulubionym przez autora światem zwierzęcym, nie jest to może nawet powieść we właściwem tego słowa znaczeniu, brak jej bowiem i zajmującej bajki, i wyraźnej myśli przewodniej, i pewnej jednolitości wewnętrznej, wymaganej dziś słusznie od utworów powieściowych. Ale w tym kalejdoskopie obrazów wiejskich, które autor przesuwa przed oczyma czytelnika, czuć silny i przemawiający do duszy rozgwar życia, który tętni również w wyprowadzonych w powieści postaciach i sylwetkach lubądzan i fałbeżan, począwszy od starego Majchra Młosza, patryarchy najmożniejszego rodu w Lubądzy, aż do oryginalnej, sympatycznej i głęboko po-

jętej postaci wiejskiego „komedyanta,“ Jaśka Pieczonki, biedaka, wykolejonego przez miłość nieszczęśliwą z prostego gościńca życia i rzuconego na manowce, gdzie czekała go w końcu dobrowolna śmierć na gałęzi wierzby — samobójstwo z głodu, chłodu, opuszczenia i może bólu bez granic... Ta jedna postać, przeprowadzona z całą konsekwencyą od początku do końca i chwilami wzruszająco żywa, mogłaby okupić słabe strony powieści, a zwłaszcza brak ogólnego planu i jednolitości, oraz zwykłą u p. Dygasińskiego przewagę epizodów nad całością. Lecz obok wybornej postaci komedyanta Jaśka, zasługują na uwagę sylwetki organistypijaka, Żyda arendarza, znachorki wiejskiej i innych kilka, a więcej jeszcze od pojedynczych postaci — ogólne tło utworu i psychologia chłopa, jako zbiorowej całości.

Mniejsza o to, że w pierwszych rozdziałach powieści mamy głównie do czynienia z nieporozumieniami małżeńskiemi między starym Majchrem Młoszem, a jego trzecią żoną Nastką, że w dalszym ciągu występuje na plan pierwszy odwieczny spór z dziedzicem o kliny nad jeziorem, przerwany niespodziewanem zjawieniem się niejakiego Onufrego Łasa, na którym przez pewien czas leży punkt ciężkości opowiadania, przechodzący następnie na odwieczną również walkę lubądzan z falibeżanami i wreszcie na smutny los nieszczęsnego Pieczonki. Mniejsza o tę rozmaitość motywów, jeżeli wszystkie one potrzebne były autorowi do skreślenia wielostronnego a prawdziwego w szczegółach i całości obrazu wsi współczesnej i panujących w niej stosunków, które Dygasińskiemu w ciemnych dosyć przedstawiają się barwach.

Obok dobrych postaci chłopskich, dużo rysów ogólnikowych i niewyraźnych zawiera w tym utworze blada wogóle sylwetka dziedzica, p. Adama Szepietyńskiego, który zresztą odgrywa w „Dramatach lubądzkich“ rolę drugorzędną i umyślnie może trzymany jest w cieniu.

Tego gorącego powiewu życia, który stanowi główną zaletę „Dramatów lubądzkich,“ niema, niestety, w drugiej powieści autora „Głodu i miłości.“ W „Złamanem życiu“ chodziło autorowi zapewre o odmalowanie złych skutków jednostronnego i powierzchownego wychowania kobiet w sferach zamożnego mieszczaństwa, w powieści jego jednak tak znaczna rola przypada w udziale wszelkiego rodzaju niespodziankom, pozbawionym umotywowania głębszego, dowolna wogóle charakterystyka głównych postaci pozostawia tyle do życzenia, a zgoła przypadkowe zakończenie tak luźnym węzłem łączą się z całością, że cel ów uważać można za chybiony.

Jeżeli pierwsze małżeństwo głównej bohaterki powieści, Zofii Różańskiej, zawarte na życzenie ojca z niekochanym, nieznanym, zwyczajnym młodzieńcem, uważać można poniekąd za wynik bierności jej charakteru, której źródło odnaleźćby się dało w wychowaniu, to powtórne wyjście zamąż młodej, pięknej i bogatej wdowy po Stefanie Bienieckim za starego, przeżytego birbanta, Adolfa Birkena i cały ich stosunek późniejszy, zakończony formalną sprzedażą żony, wymagałby głębszego umotywowania psychologicznego, bez którego nieprawdopodobnym wydawać się musi. Wypadki podobne zdarzają się w życiu niewątpliwie; jeżeli jednak autor chce, aby czytelnik uwierzył w nie, to powinien dać mu możność zajrzenia w głąb duszy bohaterów swoich, czego w „Złamanem życiu“ niema.

Powieści tej brak przytem akcyi we właściwem tego słowa znaczeniu, nie prawie nie dzieje się w niej przed oczyma czytelnika, o najmniej spodziewanych zdarzeniach dowiadujemy się przeważnie z suchego dosyć opowiadania o nich, więc los występujących postaci zająć nas żywiej nie może. Nieprawdopodobnym, niezrozumiałym wydaje się zwłaszcza obojętny stosunek starego Różańskiego, niewyraźnej wogóle postaci, do jedynej córki, oraz jej samej do ośmioletniego, a nad wiek rozwiniętego syna, podczas oryginalnej podróży włoskiej z Henrykiem.

Po za tem w pojedynczych scenach, w niektórych spostrzeżeniach i uwagach, odnaleźć można w „Złamanem życiu“ przebłyski oryginalnego talentu p. Dygasińskiego, talentu, występującego np. w jednym z pierwszych rozdziałów, gdzie odtworzone zostały tortury „edukacyi“ dzisiejszej. Dramat to dosyć zwykły w dziejach wychowania — mówi autor — niewysłowiona męczarnia dla uczenicy i nauczycielki. Obeszłoby się bez tego, gdyby od dzieci wymagano tyle tylko, ile wymagać można i należy. Wysilała się dziewczynka na przygotowania, a zawsze tenże sam rezultat; nic więc dziwnego, że dziecko zwątpiło o sobie i ręce mu opadły. Kiedy się kładła spać, chowała książkę pod poduszkę, a rano, jak tylko przetarła oczka, brała się zaraz do książki. Jeżeli wychodziła na przechadzkę, to zawsze miała przy sobie jakąś książkę, jakiś zeszyt, i chodząc, od czasu do czasu odczytywała lekcyę. Blada, wychudła, skrzywiona z niezadowolenia twarz panny Anieli zawsze jej stała w myśli. Nawet w marzeniach sennych Zosiunia częstokroć trzęsła się ze strachu, gdy jej się ukazało widmo o dwu szarych, bystrych oczach, uzbrojonych szkłami, gdy przemówiło ostrym, przenikliwym i opryskliwym głosem. Coś jadowitego było w tych oczach zimnych, w tym surowym głosie. Uczenica jednak nie śmiała nigdy źle myśleć o swej nauczycielce i często sobie powtarzała w duszy:

— Jestem bardzo niedobra dziewczyna. Z mojej przyczyny ileż zmartwień ma biedna panna Aniela!

Nie jest to artyzm, być może, niemniej jednak jest to szereg spostrzeżeń trafnych i głębokich, jest to uchylenie przepaski, zasłaniającej jedną z najbardziej zaognionych i jątrzących się wciąż ran obecnego, wyczerpującego siły i szarpiącego nerwy, systemu wychowania młodych pokoleń.

Wł. Bukowiński.

LITERATURA ANGIELSKA.

A. H. Japp: *De Quincey's Life.* — Arvede Barine: *Thomas de Quincey.*

Quincey jest jednym z tych geniuszów, których życie rozbiło i którzy nie zdolali wyrazić należycie wszystkiego, co było w nich zawartem. Dzieła jego — jak sam przyznaje — czynią wrażenie delikatnie rzeźbionych kości słoniowych i wspaniałych kamei, zmieszanych z robakami i popiołem, któreby odgrzebano w grobach i pośród szczątków jakiegoś zapomnianego świata lub zanikłej oazy.

Urodził się w r. 1785. Dzieciństwo przeżył jak najbardziej opłakane. Ojciec jego był chorowitym melancholikiem. Tomasz był drobnym chłopczykiem o olbrzymiej głowie, zawsze samotny i zamyślony. Już w dzieciństwie dawał dowody niezmiernej inteligencyi. W dwunastym roku życia pisał wiersze łacińskie, godne humanistów Odrodzenia, a w piętnastym układał ody liryczne po grecku. Najwyższe kwestye filozofii i metafizyki zaprzątały jego umysł już w tym wieku.

Ojciec umierając, mianował opiekunem człowieka umysłu nader ciasnego, który, nie licząc się z rozwojem młodzieńca, oddał go do szkoły średniej. Po kilku miesiącach nudy i męczarni Quincey uciekł do Londynu. Blizko rok włóczył się po stolicy w najostateczniejszej nędzy, dzieląc swój los nieszczęśliwy z biedną uliczną dziewczyną, Anną. Wiązała ich miłość braterska i mistyczna, ta sama, która łączy Raskolnikowa z Sonią w jednej z najlepszych powieści Dostojewskiego. Wreszcie opiekun odszukał Tomasza i posłał do uniwersytetu w Oksfordzie. Przebył tu dwa lata, zajmując się wyłącznie filozofią. W r. 1804 pojechał dla rozrywki do Londynu. Dla uśmierzenia bólu zębów kupił trochę opium i był zgubiony. Narkotyk usidlił go w swych więzach na zawsze. Skazany przez rzeczywistość na miernotę, znalazł w nim sztuczny pokarm dla swej wyobraźni artystycznej. „O, słuszne, subtelne i potężne opium!.. Ty budujesz w łonie mroków przy pomocy materyałów wyobrażalnych mózgu, sztuką głębszą, niż sztuka Fidyasza i Praksytelesa, grody i świątynie, które przewyższają wspaniałością Babylon i Hekatompylos; z chaosu snu, pełnego widzeń, wywołujesz ku światłu słonecznemu wizerunki piękna oddawna pogrzebanego, twarze rodzinne i błogosławione, wolne od obraz mogiły. Ty jedno dajesz człowiekowi te skarby, ty posiadasz klucze raju, o słuszne, subtelne i potężne opium.“ Stał się pijakiem nałogowym, z biegiem czasu wychylał całe flakony trucizny. Jego zdrowie fizyczne i umysłowe było wstrząśnięte do gruntu. Zagrożony ostatecznem rozbiciem, widmem idyotyzmu, postanowił odzwyczaić się od opium. Ale z tego „czarnego jarzma“ nie sposób się wyrwać. Walczył lata całe. Wszelka próba zmniejszenia dozy wywoływała najstraszniejsze zmory nocne. Miewał halucynacye i we dnie: kwiaty polne przybierały w jego szalonych oczach kształt twarzy ludzkich, a uszy przepełnione bywały krzykiem rozdzierającym nieznanych ofiar. Walka ta miała jednak błogie skutki. Umysł Quinceya zaczął się przejaśniać, myśl — pracować. W jednej z takich chwil pisał do przyjaciela: „Mam teraz więcej idei w ciągu godziny, niż dawniej w ciągu roku. Jest to prawdziwa powódź. Możnaby rzec, iż wszystkie myśli, które były zamarznięte od dziesięciu lat pod wpływem opium, roztopiły się naraz jak słowa legendy. Moja niecierpliwość jest tak wielką, iż wymyka mi się pięćdziesiąt myśli na jedną, którą zdołam schwytać i utwierdzić na papierze.“ Było to w roku 1821. Wziął się do pióra, ale zmysł jego stał się niezdolnym do wysiłków systematycznych, pracował spazmatycznie i nieregularnie — przytem należało go od czasu do czasu pobudzać dawką opium. Stał się niezdolnym do ukończenia jakiejkolwiek pracy. Władza sądu i syntezy były w nim mocno podorwane. Związać dłuższych rozumowań w jednę harmonijną całość stało się dlań rzeczą prawie niemożliwą.

Tylko imaginacya pozostała w nim nietkniętą, również jak i pamięć, która była tak potężną, iż potrafił recytować wiersze czytane raz w życiu, przed dwudziestu laty. Natomiast wola jego była tak chłodna, iż oddawała go na łaskę wszystkich kaprysów i impulsów — stał się zupełnie niezdolny do działania systematycznego.

W takim stanie ducha udał się do Londynu, aby szukać pracy. Zaczął pisać i drukować częściami swe „Wyznania spożywcy opium,“ które obudziły jak najżywsze zajęcie. Wydawcy pism zaczęli domagać się jego współpracownictwa. Od tego czasu, gnany nędzą, pisał bezustannie: zostawił 14 tomów, zawierających dużo wspomnień osobistych, kilka fantazyj poetyckich i masę szkiców o najrozmaitszych przedmiotach.

Nic z jego dawnych ambicyj filozoficznych tu nie pozostało, czuł nawet pewien wstręt do wysokich i rozległych konstrakcyj umysłowych. Niezdolny do wielkich polotów, trzymał się gruntu codziennej mo-

ralności, którą sądził pisarzów i dzieła. Jego dawny mistrz, Kant, stał się dlań przedmiotem obrzydzenia i oburzenia: uważał go za najniemoralniejszego z burzycieli.

Natomiast pod względem historyi i nauk społecznych wypowiadał rzeczy, świadczące o myśli niesłychanie oryginalnej, o przebłyskach genialnej intuicyi. Naprzód wymagał dla siebie w tej dziedzinie nieograniczonego prawa wątpienia, wstrząsał teorye najbardziej przyjęte i ustalone. Twierdził np., iż cesarstwo rzymskie nie było rozbite przez barbarzyńców, ale raczej zapadło się logiką własnego wewnętrznego rozwoju. I owszem, Goci i Wandale powinni być uważani za zbawców Zachodu. Zatrzymali rozkład cesarstwa, wlewając w nie świeżą swą krew. „Odrodzili — powiada — i odbudowali wyczerpaną inteligencyę rzymską. Bez nich ludność włoska wygasłaby prawdopodobnie, koło VI lub VII wieku od skrofułów, obłędu i zarazy.“ Myśl ta, wypowiedziana na wiatr w r. 1839, znajduje obecnie wielu obrońców śród historyków i antropologów. Lapouge powtarza ją prawie dosłownie, popierając faktami.

Niemniej słuszną, jakkolwiek jednostronną, jest teorya pauperyzmu, którą Quincey wygłaszał. Jest to jego zdaniem choroba specyalna świata chrześciańskiego, który ją rozwijał wieloma sposobami, głównie jednak zachętą rozmnażania się, gdyż ochraniał zasadę życia, jako tajemniczą istotę. Dodać należy, iż nędzę ogłoszono za zbawienie, a jej wspieranie — za cnotę. Jest to nadzwyczaj oryginalne i słuszne postawienie kwestyi: nauka staje obecnie na tym samym, pogańskim punkcie widzenia. Jest to tem dziwniejsze, iż Quincey był prawowiernym anglikaninem.

W literaturze odróżniał dwa kierunki: literaturę-wiedzę i literaturę-siłę. Pierwsza uczy, druga porusza. Zresztą i ta ostatnia także zwraca się do umysłu, ale przez wzruszenia.

„Publiczność — powiada — tak mało myśli o wyższych zadaniach literatury, że wystawiamy się na posądzenie o paradoks, gdy twierdzimy, iż dawanie informacyj jest dla literatury celem bardzo ubogim i drugorzędnym. Jest rzecz ważniejsza jeszcze od prawdy, mianowicie głęboka sympatya dla prawdy.

Literatura-siła pobudza i odradza w nas najcenniejsze cechy idealne. Jakich informacyj udziela nam „Raj utracony“? Żadnych. A książka kucharska? Cennych na każdym kroku. Czyż z tego powodu postawicie książkę kucharską wyżej, niż boski poemat?“

Literatura-wiedza musi ciągle być odnawianą i to jest znakiem jej niższości; literatura-siła jest wieczną i niepodległą zmianom czasu: literatura grecka także potężnie działa na nas, jak i nowożytna, chociaż chrześciaństwo wprowadziło rozłam w filozofię świata swem pojęciem „grzechu.“ Poganie nie rozumieli, co znaczy grzeszyć, rozróżniali wady i cnoty, ale w znaczeniu czysto świeckiem. Dopiero chrześciaństwo związało grzech z ideą świętości i to nadaje charakter świętokradztwa wszelkiemu naruszeniu prawa. Różnica w pojęciu grzechu stanowi tę otchłań, która oddziela tragedyę grecką od nowożytnej. Jest w tych zdaniach dużo prawdy, lecz Quincey stanowczo przesadza, gdy twierdzi, iż różnica powyższa rozbiła na dwoje świat moralny i literacki. W każdym razie byłoby rzeczą interesującą zbadać, o ile Nietzsche, który wygłasza zupełnie też same zdania o grzechu, znał dzieła Quincey'a. Jako krytyk literacki oddał Anglii wielkie usługi, przeciwdziałając wpływowi francuskiemu i skłaniając pisarzów do czerpania jedynie u źródeł narodowych.

Co najwyżej, zgadzał się jeszcze na wpływy niemieckie, jako bardziej pokrewne duchowi angielskiemu. Walczył jednak zapamiętale przeciw Goethemu, posądzając go o szarlatańswo i wewnętrzną pustotę. Przyjaciel Wordswortha i Coliridge'a, Quincey stanął pierwszy w obronie angielskich „Jakistów,“ których krytyka ówczesna szarpała zawzięcie i przyczynił się potężnie do powodzenia tych nowatorów. Był bowiem zdania, iż literatura powinna bezustannie się odnawiać, pod karą zastoju i śmierci. Wszelacy burzyciele ustanowionych formułek mieli w nim obrońcę.

Przyjaźń dla Coleridge'a i Wordswortha nie przeszkodziła jednak Quincey'owi szydzić z nich w sposób niemiłosierny i barbarzyński. Wnet po śmierci Coleridge'a, który także był namiętnym spożywcą opium, Quincey — ostatni człowiek, mający prawo to uczynić — przedstawił ten jego nałóg w formie śmiesznej i często ohydnej: Coleridge wynajmuje człowieka, który ma go powstrzymywać od kupowania opium i następnie walczy z nim na pięści, żeby się dostać do apteki; Coleridge udaje się do doktora, aby go wyleczył i nawraca go do swego nałogu; Coleridge nieumiejący nigdy dotrzymać słowa itd. Natomiast Wordsworth ma nogi brzydkie, na co wszystkie kobiety się zgadzają, jest nietowarzyski i egoista, jego arogancya nie pozwala mieć z nim żadnych stosunków itd. Takie to są te przyjaźnie literackie. Swoją drogą Quincey sam był mizantropem chroniącym się przed ludźmi. Trudno było go odszukać, co objaśniał tem, iż musi kryć się przed wierzycielami: istotnie, miał on zwyczaj, otrzymawszy list nieprzyjemny od nich, chować go, aby o nim więcej nie myśleć.

Był chorowity, drobnego wzrostu z olbrzymią głową i wspaniałem czołem. Salony Londynu i Edymburga dobijały się o zaszczyt jego obecności. Było rzeczą trudną wymódz na nim, aby przyszedł, a gdy przychodził, to zawsze brudny i odarty. Gdy jednak otworzył usta, wszyscy zapominali o jego powierzchowności. Mówił, jak filozof i artysta. Często znikał na całe tygodnie, lubił włóczęgę nieokreśloną i sypianie pod gołem niebem. Chłopi, którzy uważali go za czarnoksiężnika, twierdzili, iż przechadzał się nocami po lesie z latarnią w ręku.

Żona umarła mu w młodości z nędzy i troski. Dzieci — miał ich ośmioro — wychowywały się same. Pomimo to był kochającym ojcem: gdy jedno z nich umarło w r. 1844, wrócił z rozpaczy do opium, pił je haustami.

Rozpoczęła się ponownie walka z „czarnym tyranem“; w chwilach jasności umysłu Quincey napisał szereg drobnych ustępów w prozie poetyckiej, które stanowią jego „Suspiria de profundis,“ westchnienia duszy znużonej i mistycznej.

Są to hymny do Boleści, bogini wzniosłej i dobroczynnej. Przeklinać ją jest bluźnierstwem, ona jest talizmanem, który objawia nasze bogactwa wewnętrzne. Jesteśmy niczem, dopóki nie przeszliśmy przez katusze boleści. Bez niej największe rozkosze życia nie istniałyby. W każdej wielkiej rozkoszy jest coś strasznego. Boleść jest obecną i w radości życia. Ostatnie dwa zdania wypowiedziane były przez Shelleya, od którego Quincey mógł je zapożyczyć, natomiast pierwsze o dobroczynnych skutkach cierpienia rozwinięte zostały w całą teoryę przez Dostojewskiego. Wogóle ten ostatni pisarz nadzwyczaj ogólnym nastrojem przypomina Quincey'a i Poego: byłoby rzeczą nadzwyczaj interesującą zbadać, czy on znał cokolwiek z ich dzieł.

Rzymianie — powiada Quincey — mieli boginię zwaną Lewana, która nadawała nowonarodzonemu godność ludzką. Lewana jest namiętną wielbicielką boleści. Quincey widział ją często w towarzystwie trzech sióstr, trzech abstrakcyj, które wcielają się we wszystkich cierpieniach serca ludzkiego. Nazwijmy je „paniami boleści“ (our Ladies of Sorrow). „Znam je do głębi i przebiegłem ich królestwa we wszystkich kierunkach — powiada autor — należą do tej samej rodziny; ich drogi są odrębne, ale ich państwo nie ma granic.“ Potężne te widma gardzą niedokładnością mowy. Milczenie głuche i wieczne panuje w ich królestwach. Jako symbole wyrażają się tylko giestami. Najstarsza z trzech sióstr nazywa się *Mater Lacrimorum*. To ona każe jęczeć dzień i noc biedakom, którzy przywołują znikłe twarze. Na głowie nosi dyadem, a u pasa klucze, którymi otwiera wszystkie pałace i wszystkie chaty. Za ich pomocą Pani Łez wkrada się do pokojów ludzi, którzy nie śpią.

Druga siostra nazywa się *Mater Suspiriorum*, Pani Westchnień. Na czole jej niema korony, a w oczach nie możnaby odczytać żadnej historyi, tylko masę niewyraźną marzeń, napół umarłych i szczątki zapomnianych szałów. Nie wznosi nigdy oczu, nie krzyczy, nie płacze. Jest potulną aż do znużenia. Ma pokorę istot bez nadziei... Jeżeli szemrze niekiedy, to tylko w miejscach samotnych, zrozpaczonych, jak ona, w zapadłych ruinach, gdy słońce spuszcza się do spoczynku. Ona jest towarzyszką paryasa, Żyda, niewolnika, który pracuje na galerach, kobiet bez miłości i nadziei, dumających w zmroku, wszystkich zdradzonych i porzuconych i tych, nad którymi ciążą przekleństwa dziedziczne.

„Lecz trzecia siostra, najmłodsza! Szsz! Gdy mówimy *o niej*, niechaj głos nasz będzie cichy, jak szmer.“ Jej państwo nie jest wielkie, ale jej władza jest bezgraniczna. Pomimo potrójnej zasłony krepowej, widzimy dziki ogień, który strzela z jej oczu. Ona jest matką obłędów i kierowniczką samobójstw. Nazywa się *Mater Tenebrarum*, Panią Mroków.

Trzy Panie stanęły u kołyski Quinceya, gdy się urodził i dlatego miał życie pełne łez, westchnień i mroków: ich zadaniem było męczyć jego serce, aby tą drogą rozwinąć potęgi tej duszy. Matka Łez, oddając go do rąk Matki Mroków, przemawiała w te słowa: „Niechaj berło twe ciąży nad twą głową. Nie pozwól, aby która kobieta, ze swą czułością, siadła przy nim w ciemnej jego nocy. Odpędź wszystkie słabości nadziei, otrzyj wszystkie balsamy przyjaźni, zasyp źródła łez. Tak będzie doskonały: zobaczy rzeczy niewidzialne i tajemnice niewymowne.“ Te cudowne Alleluja Boleści są arcydziełem Quinceya. Umarł w r. 1859.

Dr. L. W.

LISTY Z PARYŻA.

29 grudnia 1897 r.

Dwaj nowi akademicy: Andrzej Theuriet i hrabia Albert Vandal. — Z życia polskiego: koncert Lwowianina Poselta.

Paweł Bourget dziewiątego grudnia powitał tradycyjną mową obejmującego po młodym Dumasie fotel akademicki Andrzeja Theurieta. Pisarz ów nie należy do wybitnych, posiada jednak niektóre cechy budzące dlań sympatyę.

Urodził się w 1833 r., gimnazyum skończył w Barze lotaryńskim, prawo w Paryżu. Wstąpił potem do ministeryum finansów i na stanowisku urzędnika pozostał do dziś. Obecnie jest merem w miasteczku Bourg-la-Reine.

Miał więc żywot zupełnie prawidłowy. Ale nie potrzeba stąd wnosić, aby to był filister po uszy. Owszem, ten pobieracz opłat ze znaczkiem legii honorowej (jest jej oficerem) posiada duszę pełną miłości dla przyrody. Z pośród żyjących może nikt tak szczerze nie śpiewa chwały zieleni i ptactwa, nikt tak nie wielbi lasów, szepczących natchnienia i kojących smu-

tek. Zapewne, Loti jest świetniejszym malarzem krajobrazów, ale zabarwia jo zawsze swą melancholią. Theurieta las ożywia i orzeźwia, śpiew ptaszyny go pokrzepia. Tej rzeźwości i uspokojenia udzielają potem jego dzieła czytelnikowi.

Pierwszy raz poznałem się z niemi, gdy jeden z młodych poetów francuskich począł unosić się przede mną nad poezyami Lenana. Znał je w tłomaczeniu Theuriotowskiem. Niewiele ich było: kilka owych rzewnych, niezrównanych „Waldlieder.“ Podał mi je, a po przeczytaniu musiałem przyznać, iż przełożone były świetnie.

Więc z pewną ufnością brałem potem zbiorek Theurieta: „Le chemin des bois“ (Droga leśna), wydany w 1867 r. Pierwsze jego dzieło. Wypowiadał w niem poeta swą miłość dla lasów ojczystych, do kniei drzemiącej, do zarośli „siniejących nad winnicami.“ Z jakimże ogniem przemawiał w jednym z wierszy („Powrót do lasu“ — *Le retour au bois*) Jan Marc, biedak uwięziony za jakieś drobne przewinienie i wypuszczony z aresztu po sześciu tygodniach. Jak witał on drzewa, których tak długo, bo aż przez czterdzieści pięć dni, nie oglądał. Jak wdychiwał szeroką piersią aromat żywic i woń liści, gwałtownie, rażnie, chcąc wynagrodzić sobie powietrze wciągane w dusznem mieście i w ciemnicy. Pomyślałem wówczas o zdechlakach miejskich, co znają tylko brzegi gajów zarogatkowych, a i tam wyjeżdżają (szykując się niby na wyprawę wojenną) w jedynym celu zjedzenia sporo szynki i uraczenia się piwkiem.

Z gorącym zachwytem opiewał dalej poeta skowronka, który nim błyśnie dzionek, pierzcha pod niebiosa, kukułkę przerywającą melodyjnym swym głosem zadumę drzew. Spostrzegał on i niedolę zabłąkaną między pnie drzewne i wiersz: „Zbieraczki konwalij“ ma odcień rechujący humanitarne poezye Coppéego lub Konopnickiej. Wychudła kobiecina z małą dziewczynką przechodzi od drzewa do drzewa, szukając konwalij i wiążąc je w bukieciki. „Po groszu! po groszu!“ będzie wołać potem na rogu ulicy miejskiej. Niejeden z przechodniów nie uczuje w tem wołaniu jej obawy o jutro, jej zmęczenia całodziennego, głodu, który może szarpie wnętrzności. Dobry las da jej dziś i za tydzień jeszcze przytułek, gdy dachu niema; ale zimą co z nią się stanie?

I tak jeden wiersz po drugim, choć nie zawsze mistrzowski, ukazywał ludzi, co w lesie żyją, dziewczęta idące po jagody, chłopaków wiejskich, poetę czującego się tu w swym żywiole, kwiat na murawie i ptaka w gałęziach.

Theuriet dotąd pisze wiersze, lecz tylko w chwilach wczasu. Poświęcił się głównie prozie, a szereg jego nowel i powieści jest długi. Tematy zaczerpnięte przeważnie z życia na prowincyi, osoby są odmienne od tych, które wywołują miejscy pisarze. Kobiety szczególnie są miłe; cudzołóstwo i intrygi nie plamią kanwy utworów. Jako najważniejsze wymienię powieści: „Królowa lasów“ (*Reine des bois*) i „Dzikuska“ (*la Sauvageonne*), tom nowel „Sama jedna“ (*Toute seule*).

Jakkolwiek życie kancelaryjne nie uciskało go zbytnio, czuł się jednak w niem Theuriet skrępowany. Sprzeczność między duszą poetycką, lubiącą wolność, i atmosferą biura i rubryk rachunkowych rozwinął on w „Dzienniku Trystana.“ Ta sama osoba wystąpiła już przedtem u niego w utworze „Sous bois“ (w lasach), który może największem cieszy się powodzeniem. A jednak taka prosta to książka, bez sadzenia się na pomysły i zawiłość. Trystan i jego towarzysz, zamieszkawszy w sąsiedztwie lasów, wchodzą ostatecznie w głąb ich, przecinają przestrzeń drzewną w różnych kierunkach i spowiadają się z wrażeń, uczuć i myśli, jakie budzi w nich szum zieleni i życie borów. Malowniczym i pełnym uczucia jest pierwszy szkic „Jesień w lesie“; każda ścieżka ma tam wzrok, każda gałąź posiada życie, każda chatka leśna wabi ku sobie. Listki żółknięjące, sójka, czy sikora, „tanecznica kniei,“ wiewiórka lub motyl są przyjaciółmi tych dwóch miłośników przyrody. Potem dla znalezienia jakiegoś rzadkiego owadu (*La recherche d'un coléoptere*) obaj zapuszczają się w wielki las w Bassigny. Wreszcie w „Pieśni ogrodnika“ występują ludzie leśni, prości i szczerzy, rębacze, węglarze, gajowi, a piosnki ludowe, które powkładał pisarz w usta swoich osób, jeszcze milszym czynią utwór.

„Odnalazł się w nim autor „Drogi leśnej“ — powiedział Bourget i miał słuszność. Te malowidła przyrody o wiele silniej przemawiają, niż jego powieści. Odnalazł się on i w grupce innych dzieł podobnych: „Nasze ptaki,“ „Życie wiejskie“ Dziś miejscy pisarze bardzo mało mówią nam o „Owadzie,“ „Ptaku,“ „Górze,“ „Morzu,“ jak niegdyś Michelet, ale gdyby ten dziejopis poetycki się obudził, uścisnąłby po przyjacielsku rękę Theurieta.

O drugim akademiku można powiedzieć bardzo mało:

Jest to historyk średniej miary, właściciel dużej fortuny, deputowany, szowinista. Liczy niewiele więcej nad czterdzieści lat i wszedł do akademii głównie dlatego, że książki jego są „na czasie.“

Wydrukowawszy w 1876 r. pierwszy swój utwór, opisujący podróż po Szwecyi, zabrał się do studyów historycznych nad stosunkiem Rosyi do Francyi. Owocem poszukiwań było dzieło: „Ludwik piętnasty i Elżbieta rosyjska“ (1882). Sięgało ono we wstępie do pobytu Piotra Wielkiego w Paryżu, potem traktowało o próbie zaślubienia młodemu Ludwikowi jednej z księżniczek rosyjskich, o pierwszym ambasadorze francuskim w Petersburgu, wreszcie o związku przeciw Fryderykowi. Dalszy ciąg tych badań stanowi dwutomowa historya przymierza Napoleona z Aleksandrem I. Prócz tego Vandal zajmował się sprawą wschodnią: ogłosił w 1885 r. historyę paszy Bonnevala, w 1887 „Poselstwo francuskie na Wschód za Ludwika XV.“

Są to zresztą prace bez szerszego pokroju.

Dość liczne grono Polaków i cudzoziemców zebrało się dnia 21 grudnia w sali Rudy'ego dla wysłuchania koncertu p. Roberta Poselta. Młody i zdolny skrzypek lwowski wybierający się właśnie w podróż artystyczną do kraju, odegrał Concerto en sol Brucha, kilka utworów Bacha, wreszcie własnej kompozycyi „Romans“ i „Mazurka.“ z dużem powodzeniem. W koncercie wzięły udział także śpiewaczka, Polka, panna Palasara (pseudonim) i pianistka, Iwona Boisséo.

B.

POEZYE

SZYDZIMY Z WASZEJ JĘCZĄCEJ LUTNI .

Szydzimy z waszej jęczącej lutni,
Drwimy ze smutnych, a i wy smutni,
Robak boleści długo nas toczył,
Usta nam splamił, piersi nam zbroczył.
Kiedy na niebie wisiały burze,
Próżno dłoń nasza biegła ku górze,
Dziś, kiedy suną potopu fale,
Wraca wesołość, pierzchają żale!
Ryknęły wichry, płyną obłoki,
Wody oblały gór waszych stoki,
Próżno zwracacie oczy przez dale,
Dokoła tylko fale i fale!
Wydętą grzywą topiel was sięga
Od widnokręga do widnokręga,
Wzrok wasz nie dostrzegł stulecia znamion,
Prawda nie dała skrzydeł u ramion,
Próżno was rozpacz miota w swym szale,
Wszystkich was czasu pochloną fale!
Odejdą wody, zamiast topieli
Znowu zieloność świat uweseli,
Mułem i błotem oblaną ziemię
Inne, ach, inne oczyści plemię!
Powróci życie, powróci wiosna,
Wróci ludzkości doba radosna,
A wasze żale, hen, pod głębiną
Na dnie potopów bez echa zginą!

Andrzej Niemojewski.

W DALI.

Płock. Ze starego grodu dochodzą głośne utyskiwania na zmowę i wyzysk przewoźników, którzy, według korespondenta *Słowa*, coraz bardziej drą publiczność, mając formalny monopol na przewóz pod Płockiem w godzinach wieczornych. Ponieważ tak statki, jak i promy rządowe przewożą tylko do godziny 5-ej po południu, przeto przybywający później do Radziwia podróżni, a jest ich niemało, muszą płacić haracz w postaci co najmniej 3 rs. za przeprawę łódką, i to gdy na rzece nie płynie kra; z chwilą bowiem, kiedy przeprawa staje się uciążliwszą, cena przewozu dochodzi nieraz do 10, 15, a nawet 25 rs., stosownie do tego, z kim przewoźnicy mają do czynienia. Szajka przewoźników, trzymając się za ręce, tak jest twardą w raz postawionej cenie, że żadne perswazye ani targi na nic się nie zdadzą; gdy bowiem podróżny nie chce albo nie może danej sumy zapłacić, zostawiają go na szosie, wiedząc z góry, że w zimowej porze nikt nie może nocować na świeżem powietrzu, a że w Radziwiu niema nawet oberży, gdzieby można znaleźć jakie takie choćby schronienie, przeto położenie tych, co muszą wyjeżdżać do Płocka rannemi pociągami, nie jest do pozazdroszczenia.

Włocławek. Z przyszłym rokiem szkolnym powstaje we Włocławku gimnazyum filologiczne, co notujemy w kronice. Przy sposobności zaznacza korespondent *Kuryera Codz.*, że miasto to posiada, oprócz seminaryum duchownego, szkółkę ludową, gdzie pracuje trzech nauczycieli, pełniących równocześnie obowiązki w szkole niedzielno - rzemieślniczej; szkołę miejską o zwykłym programie, zatwierdzonym dla tego typu zakładów naukowych; szkołę prywatną trzechklasową z oddziałem przygotowawczym, podzielonym na trzy stopnie. Ta ostatnia szkoła powstała dopiero we wrześniu, a ma za zadanie przygotowywanie do średnich zakładów naukowych. W pensyonacie przy tejże szkole uczniowie za całoroczne utrzymanie płacą 250 rs. — Włocławek liczy przeszło 20 tys. mieszkańców, nic więc dziwnego, że powyżej wymienione szkoły nie czynią zadość nawet najskromniejszym wymaganiom. Oby więc otwarcie gimnazyum jak najprędzej nastąpiło.

Mińsk gub. W swoim czasie donosiliśmy, że członkowie mińskiego Towarzystwa rolniczego podali do władzy prośbę o zatwierdzenie Tow. wzajemnej asekuracyi ziemian, bardzo szeroko pomyślaną. Na ostatniem ogólnem zebraniu Towarzystwa p. Bukowski, inspektor Północnego Tow. ubezpieczeń od ognia i pełnomocnik Tow. rolniczego zawiadomili członków, że ustawa zostanie niebawem zatwierdzoną. Zrobiono w niej następujące zmiany: a) wyrzucono całkiem dział ubezpieczeń na życie; b) zredukowano zależność nowej instytucyi od Tow. rolniczego; c) rozszerzono teren działalności na sześć guberni litewsko-białoruskich, gub. Smoleńską i Królestwo Polskie. Ta ostatnia okoliczność sprawia, że przyszłe Towarzystwo obchodzi bliżej cały nasz kraj i dlatego radzimy zwrócić interesowanym obywatelom uwagę na takowe. Na temże posiedzeniu wiceprezes, p. Woyniłowicz, uzasadnił potrzebę zakładania gorzelni, które wobec monopolu i konieczności uprawy kartofli z powodu

nizkich cen zboża mają być poparciem dla interesów ziemiańskich.

Wiatka. Do *Kuryera Codz.* piszą: „Z dalekich kresów przesyłam wiadomość, ponieważ i w tych stronach mieszka garstka Polaków, którzy przybyli tu za chlebem i pracu'ą przy budowie kolei od Permu do Kotłosu, mającej liczyć około tysiąca wiorst długości. Nowa linia przecina przeważnie okolice rolnicze. Miasto nie przedstawia nic osobliwego, brak bruku, zwłaszcza w porze słotnej, daje się bardzo we znaki. Na szczególną natomiast uwagę zasługuje „Muzeum różnych wyrobów," które pośredniczy pomiędzy wytwórcami i spożywcami. Obroty z obustronną korzyścią są poważne. W okolicach Wiatki i w mieście bardzo jest rozwinięta produkcya wyrobów galanteryjnych z drzewa, które znajdują zbyt szeroki. Naczelnikiem budowy wyżej wymienionej kolei jest inż. Rychowiec. Przedsiębiorców mamy kilku. Oddział V buduje znany w Warszawie inż. Jan Kiersnowski. Kierownikiem robót ze strony przedsiębiorstwa jest inż. Józef Suchorzewski z gub. Kaliskiej, pomocnikiem zaś jego jest p. Antoni Dąbrowski z Warszawy. Najdokładniej wykonano roboty w oddziale V, gdzie naczelnikiem dystansu jest inż. Popławski. P. Kiersnowski podjął się również robót na kolei Samarkandzkiej. Obecnie zaś konkuruje jeszcze o roboty na projektowanej linii z Kijowa do Petersburga. Z pism warszawskich trzymamy kilka dzienników i dwa tygodniki. Oprócz „kolejarzy" w Wiatce mieszka spora garstka Polaków."

Petersburg. Wszystkie dzienniki rosyjskie podały artykuły i notatki z powodu nowego generał-gubernatora wileńskiego. Przytaczamy głosy charakterystyczniejsze: „Nowa nominacya — piszą *Nowosti* (nr. 337) — świadczy wymownie, jak dalece fałszywemi były doniesienia o zamierzonem zwinięciu generał-gubernatorstwa wileńskiego, opróżnionego przez śmierć generała Orżewskiego, i jak błędnemi były pogłoski, że generał Trockij miał być powołany na inne wybitne stanowisko." „*Narod* (nr. 350) mówi: rodzaj służby generała Trockiego świadczy o tem, że „nowy generał-gubernator posiada doskonałe wykształcenie wojskowo-administracyjne, a trzyletnie nieomal zajmowanie stanowiska szefa naczelnego wojsk okręgu wileńskiego zapoznało go dokładnie z warunkami kraju Północno-Zachodniego." Wreszcie *Now. Wrem.* (nr. 7,824) po przytoczeniu szczegółów biograficznych, mówi, że nominacya nowego generał-gubernatora dla gubernij: Wileńskiej, Kowieńskiej i Grodzieńskiej, „jest nowym dowodem konsekwencyi w polityce rosyjskiej na kresach — w polityce takiej, jaką wypada uprawiać w prowincyach odwiecznie rosyjskich i przez Rosyę wyzwolonych z pod jarzma obcej niewoli." — *Pet. Wied.* piszą: „Na zasadzie sprawozdania kontroli państwa *Rus. Wied.* przychodzą do wniosku, iż szybki wzrost budżetu w dziale wpływów znajduje wytłomaczenie nietylko w rozwoju stosunków handlowych i w rozszerzeniu się spożycia, lecz i w powiększeniu skali opodatkowania. Głównem źródłem wzrostu dochodów państwa w ubiegłem dziesięcioleciu były podatki pośrednie, które dały nowych środków w sumie 180,000,000 rs., gdy bezpośrednie wzrosły tylko o 23,000,000 rs. Jeżeli pominiemy dochody kolejowe i weźmiemy pod uwagę, iż wzrost dochodów celnych wynosi około 60,000,000 rs. wskutek wzmocnionego dowozu towarów zagranicznych, możemy spostrzedz, iż 120,000,000 rs. z owych 180,000,000 rs. nadwyżki pochodzą z powiększenia skali opodatkowania. Innemi słowy, gdyby opodatkowanie pośrednie od r. 1887 pozostało bez zmiany, dochody zwyczajne w r. 1896 uczyniłyby sumę 1,248,000,000 rs., czyli, przy 1,229,000,000 rs. wydatków, dałyby nadwyżki 19,000,000 rs. Spostrzeżenia te dowodzą, iż wzrost podatków pośrednich, których ciężar spada głównie na sfery mniej zamożne ludności, nie pozostawał w związku z bardziej wszechstronnem zadośćuczynieniem potrzebom bieżącym państwa. Ostatnie mogłyby być zaspokojone w tych granicach, w jakich są pokrywane obecnie, tj. bez powiększania podatków pośrednich." — *Mir. Otg.* zamieszczają próbę statystyki urzędników w państwie: „Liczba ich stale się powiększała, zwłaszcza w latach 1807—1842, kiedy dosięgła 132,000 osób z etatem rocznym 65,000,000 rs. W r. 1867 liczbę urzędników sprowadzono do 89,000 osób, etaty do sumy 49½ mil. rs. Ilu ich dziś posiada państwo, nie wiemy, lecz według obliczeń prof. Lebedewa w początkach bieżącego dziesięciolecia na utrzymanie urzędników państwowych, oprócz wydziału oświaty i kancelaryi zarządu duchownego, wydawano rocznie 85,000,000 rs., do czego należy dodać 5,600,000 rs. zapomóg i nagród i 3,600,000 rs. na wykształcenie dzieci, czyli razem 94,000,000 rs., co czyni 9% budżetu państwa."

KRONIKA.

Sprostowanie rachunku. Sprawozdawca *Kuryera Warsz.*, opisując ogólne zebranie Towarzystwa kred. miejsk. (21 grudnia), zaznaczył, że „w obecności 124 stowarzyszonych, rozporządzających 581 głosami, wybrany został p. A. Czajewicz 719, J. T. ks. Lubomirski 734, p. Z. Mirosławski 724 itp." Naturalnie musiały się zrodzić podejrzenia z tej prostej przyczyny, że rozporządzalna ilość 581 głosów nie mogła dać 700, ani też 124 obecnych (podług ustawy mogących rozporządzać najwyżej 2 głosami na jednego stowarzyszonego) nie mogło posiadać 581 głosów. Dla wyświetlenia prawdy przekonano się u źródła, że posiedzenie rozpoczęto w obecności nie 124, ale 327 stowarzyszonych, którzy już bez omyłki drukarskiej rozporządzali 581 głosami, w dalszym jednak ciągu przybywali stowarzyszeni, których liczbę zamknięto ogólną cyfrą 468 osób z 883 głosami. Zatem po rozpoczęciu posiedzenia przybyło jeszcze 141 stowarzyszonych z 252 głosami, a w chwili oddawania kartek do obrachowania mogło się naturalnie znaleźć 730 z ogólnej liczby 833 głosów.

Wiadomości społeczne. W Towarzystwie lekarskiem wybrano poprzedni zarząd: prezesem pozostał dr. Gepner, a wiceprezesem dr. Gajkiewicz.

— Zarząd kolei skarbowych ogłosił, że kasy emerytalne kolejowe mogą ubezpieczać na życie i od wypadków swoich członków znacznie taniej, aniżeli Towarzystwa ubezpieczeń. Wysokość ubezpieczonego na korzyść jednej osoby kapitału nie może przewyższać 10,000 rs. lub pensyi rocznej 1,200 rs. Składki będą potrącane z pensyi. Na polisy będą udzielane pożyczki do wysokości opłaconych składek. Nowy rodzaj ubezpieczeń ma być wprowadzony wtedy dopiero, gdy na wszystkich kolejach rządowych złoży deklaracye przynajmniej 500 osób, pragnących korzystać z udogodnienia.

— Zaprojektowano podwyższenie płacy zwrotniczym na wszystkich kolejach żelaznych.

— Biuro kontroli towarowej stacyi kolei Wiedeńskiej z Nowym rokiem będzie powiększone o 16 nowych posad etatowych i tyluż dyetaryuszy.

— Na konkurs Paderewskiego nadesłano do Nowego roku 23 sztuki. Termin odroczono do 1 lipca 1898 r.

— Z ofiarowanych przez Salomona Eisenmana 10 tys. rs. ma powstać kasa pożyczkowa dla przemysłowców i rzemieślników przy zarządzie gminy żydowskiej.

— W aptekach z rozporządzenia władz, wprowadzono system dziesiętny w zapisywaniu i ważeniu lekarstw.

— Niebawem rozpocznie się szereg pogadanek wieczornych z dziedziny ogrodnictwa w Bagateli. Pierwszej zimy wykładane będą następujące przedmioty: miernictwo, botanika, meteorologia, nauka o ziemi i nawozach, drzewoznawstwo parkowe iglaste, kwiaciarstwo gruntowe, warzywnictwo, sadownictwo, drzewoznawstwo parkowe liściaste. Wykłady będą się odbywały w poniedziałki, środy i piątki od $7^1/_2$–$9^1/_2$ wieczór do 2 marca. Wejście bezpłatne.

— Ludność Nowej Pragi podniosła się w przeciągu kilku lat ostatnich. Przedmieście to liczy obecnie 8,000 mieszkańców.

— Towarzystwo wyścigów konnych nie chce się zgodzić na opodatkowanie dochodów totalizatora na korzyść szpitali miejskich. Czas byłoby pomyśleć o zniesieniu instytucyi, mijającej się z celami praktycznemi, a szerzącej grą demoralizacyę, i przekształcić ją na inną, bardziej odpowiednią.

Szkoły. We Włocławku powstaje gimnazyum filologiczne, miasto na ten cel przeznacza 5,000 rs. zapomogi rocznej.

— Ministeryum oświaty, według doniesień *Mir. Otg.*, rozpatruje projekt szkoły 80-letniej nowego typu, w której kurs pierwszy ma być przygotowawczy, 2—6 ogólno-kształcące, zaś dwa ostatnie kursy poświęcone wyłącznie naukom rolniczym.

— Z początkiem nowego roku szkolnego Instytut technologiczny w Petersburgu będzie mógł przyjąć znacznie większą liczbę słuchaczów, dzięki temu, iż ministeryum oświaty wyznaczyło 300,000 rs. na rozszerzenie gmachu.

Prasa. *Prawit. Wiest.* (nr. 277) podaje koncesyę, wydaną Henrykowi, synowi Tomasza hr. Łubieńskiemu, na pismo codzienne p. t. *Goniec Łódzki*. Cena pisma oznaczoną zo-tała na rs. 6 rocznie, z przesyłką 8 rs.

— Od Nowego roku raczyna wychodzić w Warszawie nowe pismo p. t. *Przegląd Farmaceutyczny* pod redakcyą Bolesława Gładycha, a współpracownictwie pp.: J. J. Boguskiego, St. Kramsztyka, W. Biernackiego, d-ra Nenckiego, dr. Wł. Palmirskiego, J. Trzebińskiego i innych. Program obejmuje: artykuły oryginalne i sprawozdania, badania pokarmów, nowe środki lekarskie, chemię sądową, dezynfekcyę, hygienę, badania mikroskopowe, farmacyę, bibliografię itd. *Przegląd* będzie się ukazywał 2 i 15 każdego miesiąca.

Koleje i komunikacye. Wyższe sfery kolejowe wystąpiły z projektem budowy nowej linii z Piotrkowa do Kielc. Kolej ta stałaby w ścisłym związku z bocznicą Piotrków, Łódź, Kutno.

— W sferach rządowych popierany jest usilnie projekt obowiązkowego ubezpieczania pasażerów na kolejach żelaznych rządowych. Opłaty byłyby wnoszone przy kupnie biletów.

— Departament kolejowy postanowił zbudować nową linię, która przetnie gub. Suwalską. Kierunek jej będzie następujący: Od stacyi Kozłowa Ruda na odnodze Wierzbołowskiej (drugiej za Kownem) nowa linia pójdzie do Szostakowa na budowanej odnodze Olicko-Suwalskiej przez Marjampol, zastępując w ten sposób poprzednio projektowaną kolej od tejże stacyi wprost do Suwałk przez Maryampol i Kalwaryę wzdłuż traktu kowieńskiego, druga zaś linia będzie zbudowana od stacyi Knyszyn (drugiej za Białymstokiem) na odnodze Brzesko-Grajewskiej kolei Południowo-Zachodnich do stacyi Kamionka przy wiosce tejże nazwy na nowobudowanej linii z Grodna do Augustowa. Kolej ta zastąpi uprzednio projektowaną odnogę z Osowca lub Grajewa do Augustowa.

— Przy zarządzie skarbowych kolei Nadwiślańskich będzie utworzone biuro budowy nowych linij. Zajmie się ono wykończeniem linii Lublin-Łuków a następnie budową projektowanych odnóg od linii Nadnarwiańskiej do Nowego Dworu i od Lublina do Włodawy.

Wystawy i zjazdy. Otwarcie wystawy koni w Petersburgu nastąpi w maju r. b. Główny zarząd stadnin rządowych zawiadomił już o tem sekcyę rolną tutejszego Towarzystwa popierania ruskiego przemysłu i handlu.

Gospodarka miejska. Pan Lindley nie złożył opłaconego z góry projektu oświetlenia elektrycznego m. Warszawy.

Przemysł i handel. *Zb. Praw* w nr. 122 ogłosił koncesye na Towarzystwa akcyjne: 1) fabryk sukna Leonhardta, Welkera i Hirbardta w Dąbrowie i 2) zakładów chemicznych aptecznych Henryka Welta.

— P. minister skarbu zatwierdził projekt łódzkiego Towarzystwa wzajemnego kredytu.

— W końcu stycznia r. b. wyjdzie z druku z zapomogi Kasy im. Mianowskiego **Poradnik dla samouków** (część I), opracowany przez grono specyalistów pod redakcyą: S. Dicksteina, J. Ejsmonda, St. Kramsztyka, L. Krzywickiego i A. Mahrburga.

Poradnik zawierać będzie wskazówki praktyczne dla samouków i wychowawców, z wymienieniem dzieł, poleconych do systematycznego czytania, poczynając od książek popularnych.

Na część I-szą złożyły się następujące prace: *Przedmowa.*— *Matematyka* (S. Dickstein). — *Wstęp do nauk przyrodniczych* (S. Kramsztyk). — *Nauki przyrodnicze wogólności.* — *Fizyka i mechanika* (W. Biernacki). — *Astronomia* (S. Kramsztyk).—*Chemia* (B. Znatowicz). — *Meteorologia* (S. Kramsztyk). — *Mineralogia i geologia* (J. Morozewicz). — *Botanika* (M. Heilpern).— *Zoologia* (J. Ejsmond). — *Atlasy przyrodnicze* (A. Ślósarski). — *Anatomia, fizyologia i hygiena* (M. Flaum). — *Nauki antropologiczne* (L. Krzywicki). — *Geografia* (An. Świętochowski i P. Sosnowski). — *Psychologia* (A. Mahrburg). — *Nauka wychowania* (S. Karpowicz). — *Dodatek zawierający bibliografię książek z zakresu zastosowań nauk przyrodniczych do życia praktycznego* — *Skorowidz* autorów dzieł wspomnianych.

Przedpłatę na książkę powyższą, objętości dwudziestu kilku arkuszy druku, nadsyłać można do Administracyi *Prawdy* Nowogrodzka nr. 39. Cena egzemplarza kop. 50, bez kosztów przesyłki.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Декабря 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.